

ROCZNIK
FUNDACJI
POMORSKICH KRESOWIAN



GDAŃSK, 2023

ZESZYT 2

PARTNER

Fundacji Pomorskich Kresowian



Spółka Gdańskie Autobusy i Tramwaje jest największą firmą komunikacyjną na Pomorzu i kontynuatorem tradycji komunikacji miejskiej sięgającej 1873 roku (150 lat!). Dysponuje ponad 390 niskopodłogowymi autobusami i tramwajami. Co roku przewozi blisko 170 mln pasażerów i pokonuje ponad 29 mln kilometrów.

GAT to firma o ugruntowanej pozycji. Obecnie zatrudnia ponad 800 kierowców i motorniczych. Celem spółki jest zagwarantowanie gdańszczanom bezpieczeństwa i komfortu w czasie podróży, a pracownikom dobrych warunków pracy, w której się spełniają. W latach 2021-2023 GAT wygrał ranking magazynu "Forbes" na najlepszego pracodawcę w Polsce w kategorii transport i logistyka.

Gdańsk jako pierwsze miasto w Polsce może się pochwalić inicjatywą nadawania imion tramwajom. Wszystko zaczęło się w 2010 roku, kiedy został ogłoszony plebiscyt w którym wzięli udział mieszkańcy miasta. Obecnie 76 gdańskich tramwajów ma swoich patronów, wśród nich są także ekspatrianci z Kresów Wschodnich.

Gdańskie Autobusy i Tramwaje, ul. Jaśkowa Dolina 2,
80-236 Gdańsk, gait.pl

Spis treści

Michał Rzepiak, Wstęp	4
Michał Rzepiak, Pierwszy na Pomorzu Bieg Orląt	6
Bożena Ptak, Z wileńskiej szkatułki. Część 2	10
Bożena Rzepiak, Wspomnienia pomorskich Kresowian. Emilia Maćkowiak – Poleszuczka, strażniczka katyńskiej pamięci	34
Małgorzata Sokołowska, "Lwów" na równiku	55
Waldemar Kowalski, Krzyże w Ejszyszkach	64
Giedymin Jabłoński, Ars proxima – urbs proxima	71
Przemysław Namsołek, 35 lat Towarzystwa Miłośników Wilna i Wileńszczyzny na Pomorzu	88
Kalendarium	106

Wstęp

Cieszę się, że mogę Państwu zaprezentować drugi numer Rocznika Fundacji Pomorskich Kresowian. Ubiegłoroczny, ze względu na datę powstania fundacji, tj. 1 września 2021 roku, obejmował lata 2021-2022. Obecne wydanie jest edycją roku 2023. Wprawdzie początkowo zapowiadaliśmy wydanie rocznika w wersji drukowanej, ostatecznie doszliśmy jednak do wniosku, że w dobie wszechobecnej cyfryzacji, wersja elektroniczna będzie dla zainteresowanych bardziej dostępna, a dla fundacji, co również nie bez znaczenia, mniej kosztowna.

Naszą misją, na stronie internetowej fundacijapomorskichkresowian.pl określoną mianem „kamienia węgielnego”, jest upamiętnienie, zachowanie i upowszechnianie dziedzictwa kulturowego obywateli II Rzeczypospolitej, którzy podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu zmuszeni byli opuścić Kresy Wschodnie RP i ostatecznie osiedlić się na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Docelowo ma temu służyć, i to jest naszym zamierzeniem i – jak na razie – niezrealizowanym marzeniem fundacji, placówka o charakterze muzealno-edukacyjnym zlokalizowana na Pomorzu.

Na drugi numer rocznika złożyły się, podobnie jak w poprzedniej edycji, teksty wspomnieniowe, opowiadające historie rodzinne pomorskich Kresowian, materiały o charakterze rocznicowym, relacje oraz teksty inspirowane Kresami Wschodnimi lub w różny sposób do nich nawiązujące.

Całość dopełnia kalendarium – podsumowanie aktywności fundacji w 2023 roku.

Dziękuję zarządowi spółki Gdańskie Autobusy i Tramwaje za życzliwość i wspieranie naszych działań.

Serdecznie zapraszam Państwa do lektury oraz do współtworzenia Rocznika Fundacji Pomorskich Kresowian.

Michał Rzepiak, prezes Fundacji Pomorskich Kresowian



Przyśniła się dzieciom
Polska

BIEG ORLĄT
Pamięci najmłodszych
obrońców Lwowa 1918-1919

17 PAŹDZIERNIKA 2023

Szkoła Podstawowa
KOLBUDY
START: godz. 11.00

FUNDACJA POMORSKICH KRESOWIAN

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ Oddział w Gdańsku

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Pierwszy na Pomorzu Bieg Orłąt

Siedemdziesięcioro dzieci ze Szkoły Podstawowej im. gen. Mariusza Zaruskiego w Kolbudach, uczciło pamięć młodych obrońców Lwowa z lat 1918–1919. Uczniowie, 17 października 2023 roku, wzięli udział w pierwszym na Pomorzu Biegu Orłąt. Jego organizatorem była Fundacja Pomorskich Kresowian.

Bieg Orłąt, to ogólnopolska inicjatywa Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Ideą biegu jest upamiętnienie bohaterskich obrońców Lwowa, dzieci i młodzieży nazwanej Orłętami Lwowskimi. W latach 1918-1919, podczas walk z Ukraińcami, oddali oni życie w obronie polskości Lwowa i niepodległości Ojczyzny.

- W obronie Lwowa zginęło wówczas 1421 młodych ludzi. Najmłodszy z nich, Janek Kukawski, miał 9 lat. Dlatego, zarówno dystans, jak i wiek uczestników biegu mają tutaj symboliczne znaczenie. W biegu mogą wziąć udział wyłącznie 9-latkowie, a dystans do pokonania to 1421 metrów. Każdy, kto przebiegnie tę odległość jest zwycięzcą, dostaje medal i pamiątkowy dyplom. W takim biegu można uczestniczyć tylko raz w życiu. Na tym polega jego wyjątkowość – mówi Adam Kiwacki, prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo - Wschodnich.

W tegorocznej edycji Biegu Orląt wzięło udział 6471 dzieci z 40 miejscowości, głównie z południowych i centralnych województw Polski. Jedynym punktem na mapie północnej części kraju były Kolbudy w województwie pomorskim. Bieg Orląt w Kolbudach poprzedziła multimedialna prezentacja przygotowana przez Daniela Siczekowskiego z Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej Instytut Pamięci Narodowej w Gdańsku, która przybliżyła uczestnikom historię tego wydarzenia. – To bardzo ważna inicjatywa, dzięki której możemy opowiedzieć młodym ludziom dlaczego tak się stało, że ponad 100 lat temu dzieci wzięły do ręki broń i poszły walczyć o swoje ukochane miasto – stwierdził pracownik IPN-u.

- Uważam, że to świetny pomysł, żeby również młodszy uczniowie, niemający jeszcze wiedzy historycznej i literackiej, mogli poznawać dzieje Polski nie tylko te odległe czasowo, ale i te stosunkowo niedawne. Pomysł zorganizowania Biegu Orląt w naszej szkole powstał po lipcowym Seminarium Edukacji o Ziemiach Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej w Lublinie,

o którym dowiedziałam się od Fundacji Pomorskich Kresowian. Tam usłyszałam o tej ciekawej inicjatywie realizowanej w wielu polskich szkołach. Cieszę się, że nasi dziewięciolatki mogli uczyć patriotyzm i męstwo obrońców Lwowa, często swoich rówieśników – mówi Izabela Frączek, nauczycielka, opiekunka Szkolnego Koła Kresowego w Kolbudach.

Organizatorem pierwszego na Pomorzu Biegu Orłąt była Fundacja Pomorskich Kresowian w Gdańsku we współpracy z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, gdańskim oddziałem Instytutu Pamięci Narodowej oraz ze Szkołą Podstawową im. Mariusza Zaruskiego w Kolbudach. Każdy uczestnik biegu, oprócz koszulki, okolicznościowego medalu oraz dyplomu otrzymał ogromną tabliczkę czekolady. Słodkości ufundował i wręczył dzieciom mieszkańiec Gdańska, lwowianin z pochodzenia Janusz Warchoń, członek Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich.

– Trzeba popularyzować i zachować dla potomnych, przez dziesięciolecia celowo pomijane, dziedzictwo historyczne i kulturowe ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, szczególnie na Pomorzu, gdzie żyje jeszcze wielu ekspatriantów z Kresów – świadków historii. To zobowiązanie i cel działania naszej Fundacji. Jestem przekonany, że w przyszłym roku w Biegu Orłąt wezmą udział także inne szkoły z naszego województwa – mówi Michał Rzepiak, prezes Fundacji Pomorskich Kresowian.



Każdy uczestnik Biegu Orłąt otrzymał pamiątkowy medal, dyplom oraz ... tabliczkę czekolady
Zdjęcia: Michał Rzepiak



Koło Polonistów na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, 1933 rok

Z wileńskiej szkatułki. Część 2

W Roczniku 2022 zaprezentowaliśmy pierwszą część „Wileńskiej szkatułki” Bożeny Ptak, członka Rady Fundacji Pomorskich Kresowian. Warto do tych kresowych wspomnień sięgnąć. Poniżej publikujemy fragmenty części drugiej.

Wśród stosu pamiątek, zdjęć i papierów trafiam na kolejną wersję ojcowskiego życiorysu i rozpoznaję pismo ojca, który zazwyczaj posługiwał się wiecznym piórem. W szufladzie starego wielkiego biurka, na którym stoi dzisiaj mój laptop, zawsze był pojemnik z zielonym atramentem. Pismo, które wyciągnęłam ze szpargałów pisane jest jednak czernią i nie zostało opatrzone żadną datą. *Życiorys. Czesław Ptak, syn Władysława, pracownika kolejowego i Jadwigi*

z Wiercińskich Ptakowej urodził się 17 XII 1912 roku w Wilnie...

Ten życiorys od poprzedniego jednak trochę się różni, bo mowa w nim o działalności konspiracyjnej, Armii Krajowej, częstych aresztowaniach i ranie z 1944, o zwolnieniu z pracy w szkolnictwie morskim w 1952 (właśnie przychodziłam na świat) i trudnościach z zatrudnieniem, działalności w Towarzystwie Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku i pracy w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, o działalności publicystycznej i naukowej. Kolejne świadectwo dokumentujące ukończenie klasy siódmej w Koedukacyjnym Gimnazjum św. Kazimierza, ocenami nie imponuje, ale trzeba przyznać, że nigdy tata nie prawił swym dzieciom peanów na cześć własnych szkolnych sukcesów.

Ręcznie pisany odpis świadectwa dojrzałości nie wiem, do czego był tacie potrzebny, ale wyszukuję w Internecie nazwiska osób podpisanych pod nim. Władysława Wendorffa znajduję – matematyk, autor podręczników matematyki. Czy to ten sam? Stefan Słomiński? A. Kalinkiewiczówna? J. Wokulska? Piotrowiczowa? Na bazie Koedukacyjnego Gimnazjum św. Kazimierza w Nowej Wilejce powstała nowa szkoła polska im. Kraszewskiego.

23 kwietnia 1945 roku, jak głosi kolejny dokument, ojciec przebywał w Białymstoku, a 25 kwietnia tegoż roku otrzymał skierowanie do pracy w Samorządowym Gimnazjum w Legionowie. Chyba nigdy tam nie dotarł. A teraz cacko, które czytałam ze wzruszeniem wielokrotnie. Niestety odbitka ksero, ale wyraźna, czytelna kaligrafia jednej z nauczycielek mojego taty.



Czesław Ptak na skwerze w Nowej Wilejce

Wspomnienia

Anny Mirowiczowej- Kalinkiewiczównej*

Jest szpitalna noc. Nie śpi mi się. Jestem ciężko chora, choć czuję się w tej chwili dobrze. Być może jeszcze kawałek życia przede mną, ale wyjść z choroby nie mam już nadziei. Tak się kończy około czterdzieści lat mojej belferki.

Leżę tedy i w myśli żegnam się z Wami, moje kochane dziewczęta i chłopaki. Nie umiem Was inaczej nazwać, niejedno z Was przekroczyło pięćdziesiątkę. Tyle Was przeszło przez moje ręce, chyba tysiące. Kochałam Was bardzo. A teraz w obliczu końca mam do Was ogromną prośbę. Niech to z Was, któremu moja pamięć będzie droga, wierzący czy niewierzący, przeczyta jedną z Ewangelii jako powieść, jednym tchem – dobrze? To niewiele przecież.

Tymczasem leżę i wspominam moje belferskie lata i Was. Zaczęło się to od warunków zupełnie dla Was egzotycznych, przed I wojną światową, w wiejskim dworze na Wileńszczyźnie, który do kolei miał 21 km. wyboistej drogi, a do najbliższego miasteczka, gdzie gmina, kościół i jedyna w okolicy rosyjska trójklasowa szkoła – 9 km. Ludność zasadniczo mówiła po polsku z właściwym śpiewnym akcentem, mimo że przy zetknięciu z władzami wymagano języka rosyjskiego. Ale w kościele śpiewało się i mówiło po polsku i z pokolenia na pokolenie przekazywało się jak skarb rodzinny umiejętność czytania na książce do nabożeństwa. Przy kłótni, przekleństwach i innych momentach wzburzenia wyłaziła białoruszczyzna.

Otóż w wielu wiejskich dworach w długie zimowe wieczory przy rozstawionych na dużym stole kilku naftowych lampkach, a więc na ogół w mroku, odbywały się policyjnie zakazane lekcje czytania i pisania po polsku, elementarnych rachunków, religii. Uczyła dziadczka, moja matka. A ja, 8-10-letnia dziewczuszka, pomagałam jej z wielkim przejęciem. Tak się narodziło moje powołanie nauczycielskie i nigdy już potem nie miałam wątpliwości co do wyboru zawodu. W tych czasach miałam dwie rówieśnice, które nie przychodziły na wieczorne lekcje, bo poszły do dalej położonych gospodarstw na służbę i te – Stefcie i Polońcie – douczałam samodzielnie niedzielami. Poszły w życie z takim zapasem wiedzy, jaki im ja – 9-letnie dziecko – przekazałam. Czy żyjecie jeszcze i gdzie się obracacie?

*A potem, już po studiach Nowa Wilejka, kolejarskie miasteczko położone o 9 km od Wilna w głębokiej dolinie bystrej rzeczutki – Wilejki, wśród malowniczych wzgórz i lasów, gdzie kryły się resztki ruin zamku Bony, wzdłuż batorowego i napoleońskiego starego traktu. Młodzież była specyficzna, przede wszystkim pochodzenia robotniczego z licznych rodzin, nieraz z trudem przekraczająca pierwsze progi kultury. Problem rozpieszczonych jedynaków nie istniał, chyba że był to wypadek ze szkół wileńskich. Najbardziej uświadomiony i uspołeczniony element to było środowisko robotników wysoko kwalifikowanych. Wy, powojenne pokolenie uczniów, nie byliście ode mnie wiele młodszy – eksplodowałam zapałem i starałam się ukryć głęboko chwytający za gardło strach przed Wami. Tym większy, że obejmowałam lekcje po **Jerzym Wyszomirskim**, w którym się kochała cała piękniejsza połowa młodzieży.*

Gdy weszłam po raz pierwszy do siódmej, przedostatniej klasy gimnazjalnej – tej pod schodami – zaczęłam z tupetem zadawać tak trudne pytania, że nikt nie mógł na nie odpowiedzieć. Wiadomo, znaną wszystkim słabym zwierzacom metodą jest próba zastraszenia przeciwnika. Wszystko się jednak ułożyło dobrze. Lubiliśmy się i matura poszła niezgorzej. Tylko nie umiałam osadzić eleganckiego, starszawego Wadima, który patrzył na mnie w wyzywający sposób, co wywoływało raki, niesłychanie krępujące dla poważnej i groźnej profesorki. Zatarła mi się większość imion i nazwisk, ale do dziś pamiętam jak przez mgłę Wasze twarze, a nawet gdzie, kto siedział.

*W pierwszej ławce pod oknem Wandzia, z lewej strony w środku **Olechnowicz Marian**, z prawej **Irka Pyszyńska-Parafianówna**, z ostatniej ławki środkowego rzędu wstawał długonogi **Bolek Sylwestrowicz** i gdzieś obok **Adolf Olechnowicz**. W pobliżu nauczycielskiego stolika złożyły się włosy i rumieniły buzie **Jadź-Szypiłówny** i **Harasimowiczówny** i widać było pozornie poważną minę **Wojtka Borzobohatego**. Były jakieś pogadanki z dziewczętami – co za naiwności musiałam Wam mówić – jakieś herbatki u pp. **Harasimowiczów** (białe bluzki, granatowe spódniczki, kokardy) i nieprzespane godziny w nocy, w których się biedziłam, jak Ci Bolkuń wytłumaczyć, że nie wypada zaglądać przez dziurkę od klucza i podsłuchiwać, co to ja mogłam za drażliwe sprawy z dziewczętami omawiać. Spotkałam Was potem po wojnie, Jadziu i Bolku, jako wziętych lekarzy i doznałam od Was dużo serca, za co Wam gorąco dziękuję i żegnam serdecznie. Uczyłam Waszego świetnie zapowiadającego się syna. Niech się Wam powodzi jak najpiękniej.*

A potem szły lata za latami, klasy za klasami. Wyłania mi się z tych czasów szereg problemów i twarzy. Co do problemów to najpoważniejszym, osobistym była trudna umiejętność pogodzenia spontanicznej serdeczności dla Was i żelaznej konsekwencji wymagań. Nauczyłam się jej wiele lat później, a tymczasem miałam wiele trudności i nieporozumień. Jeżeli osiadły one goryczą we wspomnieniach niejednego z Was, darujcie. A co do osób – żegnam się ze wszystkimi, nie tylko z tymi, których tu wspominam. I ci niewymienieni niekoniecznie byli mi mniej bliscy, nieraz wręcz przeciwnie. Po prostu nie stawili się na to szpitalne spotkanie z pamięcią starej chorej kobiety. Niektórzy przyszli.

*Przesunęła mi się postać **Wilka Illukowicza** z czupryną na jeża, szczupła sylwetka **Irki Pęskiej**, tej, która przez cały okres przed maturą grała w tenisa, a na egzaminie poprawiła wszystkie czwórki na piątki. Odnalazłaś mnie, Irko, w Toruniu, opowiadałaś, że na pryczy obozowej rozmawiałaś ze mną i chciałaś mnie przekazać swoje przemyślenia. Ale trafiłaś na początek naszego repatrianckiego bytowania. Nieprawdopodobny tłok, rwetes i zamęt. Nie umiałam Cię przyjąć, jak tego oczekiwałaś i więcej się nie pokazałaś, czego mi było ogromnie żal. A przede wszystkim dobroczynna postać dr **Julii Nowickiej**, która jako lekarz ratowała nas w pierwszych toruńskich czasach – zawsze chętnie i troskliwie. Dziękuję z całego serca i chciałabym Ci nieba przychylić. Jasna głowa **Stacha Chrzczonowicza**, o którym ostatnio wiele i serdecznie myślałam w związku ze śmiercią Janki.*

*Spojrzenia spod czoła i nastroszonych włosów **Witalisa Rymszy**, którego losy zagnały na drugą półkulę, ale który*

wiernie pamięta o dawnych belfrach i kolegach. Piegowaty pyszczek i bystre, inteligentne oczy **Cześka Ptaka** – miłe mi były późniejsze spotkania z Tobą i życzę powodzenia przede wszystkim Twojej uroczej córeczce, za którą wodzisz rozkochanymi oczami.

Widzę pogodną, jasną i ufną buzię **Stefy Leszczykówny**, która potrafiła później tak dzielnie przebijać się przez niebывałe trudności życiowe i chyba wyszła z nich zwycięsko (jest teraz sędzią dla nieletnich). Upartą twarzyczkę **Heli Węgrowskiej**, dla której w bardzo ciężkich warunkach domowych Krakowska Szkoła Pielęgniarek zdawała się niedościgłym marzeniem, a jesteś bardzo znanym psychiatrą w Łodzi. Helu, gdyby do Ciebie zgłosiła się jedna z moich późniejszych uczennic, pomóż jej całą swą wiedzą i możliwościami. Jest na pewno tego warta.

Którędy się obracasz, księżu **Stasiu Górski**? Nieraz Cię wspominam, jesteś dla mnie przykładem siły charakteru i trwałości powołania. Wyszedłeś z dalekiej, nadgranicznej wsi białoruskiej o tak prymitywnych warunkach życiowych, że dzisiaj wydaje nam się to nieprawdopodobne. Skończyłeś jakąś tam okoliczną szkołę powszechną i zgłosiłeś się – wielki, mocno przerośnięty chłopak – do nas. Postanowiłeś zostać księdzem. Zamieszkałeś u jakiejś kobieciny, gdzie przez wszystkie lata nauki miałeś wyrko na stryszku, na który się wchodziło po drabinie. Żywiłeś się kaszą i słoniną przywiezioną z domu. Byłeś brzydkim kaczątkiem wśród jako tako wyrobionych kolegów. Na pierwszy okres same dwóje – uważaliśmy za uczciwe oznajmienie, że nic z Ciebie nie będzie. Na półrocze było już lepiej, promocję otrzymałeś już gładko. Po siódmej klasie jako

przerośniętego wzięto Cię do wojska. Odbyłeś służbę i znowu – dorosły mężczyzna – zasiadłeś w ławce szkolnej, by zdać maturę. Wreszcie upragnione seminarium duchowne. Chcę zostać „sacerdos simplex”. Nie skończyły się trudności. Wyłoniła się jakaś przeszkoda związana z prawostawiem matki. Nie załamawsz się. Poszedłeś na matematykę, gdzie Ci świetnie szło, aby przy pierwszej możliwości wrócić do seminarium. I wreszcie, już głęboko w czasie wojny, w czasie prymicji Twe kapłańskie dłonie objęły moją głowę jak matki – nikt z Twojej rodziny nie mógł przyjechać. Czy odprawiasz za mnie mszę świętą Stasiu?

*Wreszcie na spotkanie wtargnęła niemal cała klasa bardzo mi bliska, chociaż nie byłam jej wychowawczynią. Klasa **Irek – Kontowtówny, Lechówny, Kokoszyńskiej** i może innych jeszcze z **Lejbą Romem** jako inteligentnym wójtem. Tam odbywały się najwyższe dyskusje. Pamiętacie taką o socjalizmie, na którą niespodziewanie wtrynił się wizytator, a Lowa Rom cytował „Kapitał”? Tam na pogadankach z dziewczętami (byłam już wtedy w miarę wytrawną wychowawczynią dziewcząt – była taka funkcja w szkolnictwie koedukacyjnym przed wojną) wpływały już do skrzynek zapytań poważniejsze problemy, poza obowiązującym w każdej klasie pytaniem: „Czy pocałunek jest grzechem?”. Z perspektywy pierwszy okres mojej pracy w Nowej Wilejce wydaje mi się sielankowy, bezkonfliktowy. Żyli obok siebie, do gruntu przesiąkając kulturą polską Polacy, Rosjanie, Białorusini, Żydzi, Tatarzy, Karaimi i nikomu nie przeszkadzało, że dobra, troskliwa i skrupulatna nauczycielka języka niemieckiego jest gorącą niemiecką patriotką. W latach trzydziestych ferment społeczny i nacjonalistyczny dawał o sobie znać.*

Gdzie jesteś pełna głębokiego przekonania **Anko Szyszkówno**, dużo bardziej uświadomiona społecznie od koleżanek? Jak przetrwałaś epokę przemian i jakie jest Twoje oblicze?

Myślę nieraz, czy przeżył wszystkie kataklizmy **Lowa Rom**? Wychowanek chederu, całą swą żywą inteligencją garnął się do kultury polskiej; zdolnościami, talentem życia koleżeńskiego, osiągnięciami sportowymi imponował kolegom, którzy go rokrocznie wybierali na wójta klasy, darzonego sympatią i zaufaniem. I raptem z niezrozumiałych dla niego powodów poczuł, że wszyscy go uważają za obcego Żyda. Pamiętam, jak ten duży, wyrosnięty chłopak szlochał przede mną, jak robił wszystko, by dotychczasowe polskie środowisko go nie odrzuciło, żeby znaleźć w nim własne miejsce. Rozczytywał się w książkach Askenazego i Handelsmana, biorąc tych ludzi za swój wzór, stał się działaczem sanacyjnej Straży Przedniej. Nie pomogło. Trzy razy odrzucano jego podania na medycynę – poszedł w podziemie. Czy żyjesz? Czy przetrwałaś tragedię swego narodu? W jakim kraju znalazłeś swój dom?

Były i innego rodzaju problemy. Gdzieś mi się zapodziała niepozorna, skupiona dziewczynko, **Halinko Hajdamowiczówno**? Nie miałaś chyba szesnastu lat, gdy stałaś się po śmierci matki wychowawczynią dwóch młodszych braci i małej siostrzyczki. Ojciec, skromny krawiec od łątania mundurów w koszarach, dostarczał Ci trochę środków do życia, ale już w wychowaniu pomoc nie potrafił. Chłopcy nie sprawiali Ci trudności. – „My wiemy, jak postępować. Matka nam przed śmiercią wytłumaczyła”. Żaden jednak nie przeżył wojny. A co się dzieje z Tobą i tak bardzo ukochaną przez Ciebie

dziewuszką? Tak się obawiałaś, by jej nie skrzywdzić. Na jakimś zjeździe stanął przede mną brodaty, poważny pan, działacz na ziemiach zachodnich. „Kto ja jestem?”. Wiele wysiłku mnie kosztowało wywołać z pamięci poza tą poważną głową roześmianej od ucha do ucha puchatej i rumianej twarzy i figlarnych oczu „największego łobuza” – **Stacha Paślawskiego**.

Gdy myślę jednak o Waszej klasie, to przede wszystkim o Tobie, **Iruś Kontowtówno**. Ty najbliższa, najukochańsza Przyjaciółko, wierna w złej i dobrej doli. Iruś, dziękuję Ci za wszystko, za Twoją dobroć, subtelność i przywiązanie. Tobie oddam te gryzmoły. Niech Cię Bóg wynagrodzi w losie Teresy. I Was żegnaj serdecznie Irki moje drogie: **Lechówna** i wiecznie młoda **Kokoszyńska**. (...)

No i ostatnia moja klasa, wychowana przeze mnie od początku do matury, klasa wójta **Stefana Drozdowskiego**, nieliczna, ale zgrana. Ileż miłych wspomnień nas łączy! – Pamiętacie? Wiosłowaliśmy po trockim jeziorze, maszerowaliśmy ze śpiewem do zamku Miednickiego, jeździliśmy kuligiem w głęboki śnieg sznurem saneczek do Micku, urządzaliśmy przedstawienie jakiejś sztuczki Fredry (sukces Werki), po zwiedzeniu Warszawy i Krakowa przeszliśmy pieszo w trzy dni w cudną pogodę z Nowego Targu do Rytra, ze spływem Dunajca oczywiście. Pamiętacie ostatnią naszą wspólną Wilię organizowaną przez prymuskę, **Wandzię Stuczanowską**? Z całym rytuałem. Był śledź i barszcz z uszkami, i ślezyki, i indywidualne życzenia dla każdego pod talerzykiem. A nasze ciągnące się godzinami sądy koleżeńskie ze skrupulatnym sędzią **Gienią Mikulską**?

Ale i były smutne wypadki, które zasnuły Waszą młodą radość. Bezsensowne samobójstwo **Zygmunia**

Wolejszy, potem głęboko tragiczna śmierć **Heli Kuleszanki** z samobójstwem na jej grobie w rocznicę śmierci – matki, zahartowanej życiem robotnicy. Psychiczna choroba **Władka Kaweckiego** – ileż serdecznej opieki i uwagi umiałeś mu zawsze okazać, **Stefku Drozdowski**. Do końca życia pamiętam, jak kiedyś Władek odprowadzał mnie ze szkoły (ze 3–4 godziny drogi) w bardzo zimny, wietrzny dzień. Wiatrem podszyta jesionka nie chroniła go od chłodu. Mówił na tematy obojętne, by wreszcie wykrztusić: „Proszę pani, czy ja jestem normalny?”

Wreszcie wojenna śmierć **Witka Hajdamowicza**. Witka, który zawsze szedł prostą, rzetelną drogą, który tylekroć nosił cudze plecaki, który dzięki uczciwej pracy tak pięknie rozwinął się umysłowo, że jego pogłębione wyczerpujące odpowiedzi na maturze długo wspominaliśmy z dumą.

Szliście wiosną 1938 roku po rozdaniu matur z radosnym uczuciem, że świat przed wami otworem. Wojna poplątała Wam życie. Część z Was poszła wprost w podziemie, parę dziewcząt wyszło za Litwinów – czy aby jesteście szczęśliwe? Byliście ludźmi z charakterem i otwartymi głowami, a tak niewielu z Was pokończyło studia. Najwyżej doszła doc. dr **Gienia Mikulska**. Życzę ci dalszych sukcesów naukowych, Gieniu kochana. I Tobie, adiunkt **Zosiu Aleksandrowiczówno** – byłaś mi zawsze jedną z najbliższych i najserdeczniejsze moje życzenia idą raczej w innym kierunku niż powodzenia naukowe. Te zresztą również.

Przede wszystkim poplątały się jednak, zwłaszcza dziewczętom sprawy najosobistsze, małżeńskie, a tyle w Was było materiału na pełnowartościowe żony i matki. Nie doszła do mnie wiadomość – ufam, że informacje są

niepełne – o żadnym normalnym, szczęśliwym, pogodnym małżeństwie dziewcząt z tej klasy – natomiast o wielu zwichniętych życiach. I ogromnie mi smutno.

Czułabym wielki brak, żebym na te moje spotkania nauczycielskie nie zaprosiła Was, najdroższe moje drużynowe harcerskie, przyjaciółki wypróbowane. Pamiętacie, że charakter ówczesnego harcerstwa różnił się zasadniczo od współczesnego. Przede wszystkim robota była całkowicie oparta o pracę społeczną dobrowolnie podjętą, wynikającą z poczucia osobistej odpowiedzialności za lepszą przyszłość. A lepsza przyszłość to w pierwszej mierze lepszy człowiek. Jeśli komendantka chorągwi obejmowała swoją funkcję, a poza tym normalnie pracowała zarobkowo, musiała te lata całkowicie wykreślić z życia osobistego. Nie miała nawet maszyny do pisania. Subsydia szły na kursy, obozy, przejazdy, wydawnictwa. Atmosfera ta wytwarzała zespół o jednakowej postawie, związany wobec tego głęboką przyjaźnią i całkowitą pewnością, że nawzajem można na siebie liczyć pod każdym względem. Nic dziwnego, że taka kadra miała ogromny autorytet i wpływ wychowawczy na młodzież.

Nie należałam do tej kadry, byłam tylko mocno zaangażowaną opiekunką swojej szkolnej drużyny, ale znałam te dzielne, ideowe kobiety i przyjaźń ich cenię sobie bardzo wysoko.

*Czy pamiętasz, najmilsza **Aldono Terpilowska**, kiedy przyszłaś do naszego nauczycielskiego pokoju, tym swoim młodym, wesołym krokiem, który zachowałaś do dzisiaj? Zgłosiłaś się jako nowa drużynowa. Pogadałyśmy. Robota ruszyła z kopyta. Wkładałaś w nią cały swój zapał i talent pedagogiczny. Najważniejsze jednak były*

nie zbiórki, wycieczki, kominki czy ogniska, ale że dom Twoich rodziców o pogodnej, kulturalnej atmosferze był zawsze otwarty dla tych wszystkich dziewczuszek z bardzo skromnych nieraz środowisk; znajdowały tam radę, wzór, pomoc. Obie Twoje siostry, Janka i Wiciuszek, moje miłe uczenniczki, sekundowały Ci dzielnie. Formacje druhen wykańczały (wyszlifowywały) obozy. Tak wiele później doznałam od Ciebie dobroci i przyjaźni, Aldono. Odpłacałam Ci całym sercem. Żegnaj kochana, Ty mnie zrozumiesz, że odchodzę bez żalu, gdyż doznałam w życiu niewypowiedzianie wiele dobrego. Tak dobrze pamiętam, Wiciuszek miły, jak przejąwszy berło po siostrze, prowadziłaś swój pierwszy samodzielny obóz nad rozległym jeziorem Karaciskim – jak się ono pięknie nazywało – Skajście? Młodziutka studentka pierwszego roku chemii miała wszystko tak zorganizowane, że zdawało się, że sama nic nie robi. Skupiona i poważna byłaś przeciwieństwem swej tryskającej życiem i serdecznością siostry. Nie było jednak warty nocnej, której byś nie sprawdziła, dodając otuchy wartownicze drżącej przed każdym poruszeniem wiatru w krzakach. Otulałaś kocami przed rannym namiotowym chłodem spocone ciała druhenek, wchodziłaś w każdy szczegół. Pamiętasz, jak nas zaskoczyła burza w drodze do Landwarowa i wróciłyśmy przemoczone do nitki? Kazałaś mokre mundury zostawić na dworze (nic już nie mogło im zaszkodzić) i wpakować się pod koce na sienniki. Wkrótce rozległ się z różnych stron namiotu głęboki oddech śpiących. Opowiadałam im w tym czasie fascynującą bajkę i stwierdziłam, że w pamięci każdej z harcerek bajka kończy się na innym epizodzie. Do końca nie dotrwał nikt. Potem to chyba była **Tonia Wysocka**. Dziewczyzna

o bardzo jasnej karnacji, regularnych rysach i długich, prostych, bardzo jasnych warkoczach. Ociupinkę zaniedbana i ociupinkę roztargniona, ale pełna miękkiego uroku, wrażliwa na każdą ludzką biedę czy potrzebę. Bałam się, że Cię życie skrzywdzi, wykorzysta, a tymczasem jesteś adiunktem, jeśli już nie docentem SGGW, matką czworga dzieci i żoną nieprzeciętnego człowieka. Znowu wracam do Ciebie, **Irciu Kontowtówno**, moja następna drużynowo. Pamiętasz, jak się zaczęła nasza przyjaźń? Przytapałaś mnie na półpiętrze naszych schodów szkolnych, w tym miejscu, gdzie wielkie okno wychodziło na boisko, Wilejkę i wzgórze. Byłaś bardzo malutka i drobna w pierwszym Twoim szkolnym roku. Podniosłaś jasny łeppek do góry i zapytałaś ze śmiertelną powagą: „Czy podpowiadanie i dawanie ściąg jest rzeczą uczciwą?”. Osobiście należałam do pokolenia pierwszej szkoły polskiej w czasie I wojny światowej i z zasady, że wiele pomagałam koleżankom poza lekcją, nie podpowiadałam i nie ułatwiałam ściągania, ale już moja odpowiedź Irci była daleko bardziej liberalna. Czasy się zmieniają, my w nich. Na takim drobnym przykładzie nieraz widać to jaskrawiej niż przy poważniejszych sprawach, co już może być normą uczciwości, a co się wydaje wyjątkowo zabawą i nieżyciową skrupulatnością. Warto się zastanowić. Zostałaś komendantką obozu – hufcowa Aldona obserwowała Cię, by w każdej chwili przyjść Ci z pomocą. Troszczyła się: „Organizacyjnie będzie na pewno wszystko na medal, ale czy potrafi wymagać?”. I pełne zachwyty stwierdzenie: „Ależ ta Ircha umie się postawić! Cichutko a stanowczo”.

Po Irce drużynę objęła **Wicia Kudrewiczówna**, ale mi się jakoś szybko w życiu zgubiła. Pamiętasz, Wiciu,

nasz własny, tylko drużyny, a pełen emocji obóz w Zameczku nad jeziorem Sałatą? Ślicznie tam było i wygodnie, szkolenie szło sprawnie, nawet malkontentom rozpogodziły się czoła. Na zakończenie może nawet zbyt burzliwa noc i o świcie powrót ciężarówką do Nowej Wilejki. I oto kierowca wywrócił nas z nasypu, siekiery i kotły poleciały nad naszymi głowami. Nigdy nie zapomnę wrażenia z jakim trochę podrapana wstawałam. Co zobaczę? Na szczęście nie było nic groźnego: jakaś złamana ręka, zwichnięty obojczyk, wybite zęby. Ale plotka poszła do Nowej Wilejki w tej formie, że część z nas zmarła, a część w szpitalu walczy o życie.

*I wreszcie ostatnia z moich drużynowych, najpromienniejsza dziewczyna, jaką w ogóle znałam w życiu – **Janeczka Pieciunówna**. Należałaś do mojej klasy wójta Drozdowskiego, byłaś jego młodzieńczą sympatią, bardzo lubianą i cenioną przez kolegów i koleżanki. Każdy nauczyciel się na Twój widok uśmiechał, a ja kochałam Cię najwięcej z mojej gromadki. Harcerka w każdym calu, natura bogata, prawa i ofiarna, o pogłębionej ideowości, jakiejś wielkiej szczerości wewnętrznej („Nie umiem pani nie powiedzieć, że w tej chwili pani nienawidzę”), o ogromnym uroku promieniującym z brązowych, żywych oczu i ślicznego uśmiechu.*

*Przyszła wojna i wali w Ciebie cios za ciosem. Kiedyśmy się odnalazły, miałaś odbudowane życie w Gdańsku-Oliwie w jakichś zbyt wąskich ramach jak na Twoje możliwości i potrzeby. A ja zadałam Ci idiotyczne pytanie, czy jesteś zadowolona ze swojego życia. Daruj mi to, rozumiem teraz dużo więcej i poza **Anusią Paderewski** mało o kim z Was rozmawiałam dłużej*

z Bogiem w nocne, szpitalne godziny, niż o Tobie.

Kończy się Nowa Wilejka. Z jej wspomnieniem łączą mi się szare, rześkie poranki, kiedy w zwartym szyku zbieraliście się na modlitwę na boisku przed szkołą, a mocne głosy dźwięczały czysto, odbijając się o lasy i wzgórza. Albo gdy na 11 listopada chłopcy odchodzili z karabinami w stronę koszar, śpiewając na całe gardło „Wszystko co nasze”, a co nie okazało się frazesem. Miałam silne poczucie dumy, ale w miarę upływu lat narastał lęk. Uczyłam potem w wielu szkołach, do których serdecznie się przywiązałam, ale uczucie do Nowej Wilejki zachowało na zawsze jakiś posmak pierwszej miłości.

*Na następną noc zamawiam sobie moją kompletową wojenną gromadkę. Przyjdźcie! Niech **Anusia Gizelska-Paderewska** wypełni luki w imionach i nazwiskach. Nie było przecież dzienników ani arkuszy ocen, w które się bez końca każdego wpisuje. Pamiętam daleko lepiej twarze i charaktery niż imiona i nazwiska. Ale to nie ma przecież znaczenia, prawda?*

*Nie przyszliście, całą noc spałam mocno. Dopiero nad ranem mignęła mi śniada twarzyczka i pełna życia, i temperamentu figurka w harcerskim mundurku – **Ziunia Leszczykówna**. Wyszłaś za mąż za dawnego kolegę i oficera WP, wartościowego chłopca, mojego dawnego ucznia, **Mietka Szczecińskiego**. Data ślubu mówi za siebie: 15 sierpnia 1939. Byliście ze sobą 2 tygodnie, a potem całe 17 lat osobno ze skąpyimi wiadomościami. Hodowałaś syna, repatriowałaś się na Mazury i z trudem przebijałaś się przez wszystkie trudy wojennego i powojennego życia. Mietka rzucił los do Kanady. Czekaliście. Aż wreszcie po październiku 1956 otworzyły się możliwości połączenia. Dostałaś list: „Przyjeżdżaj”.*

Jechałaś z trwogą, trudne warunki życia odjęły Ci wiele z dawnej świeżości, a 16-letni syn to już była indywidualność, która mogła się nie pogodzić z indywidualnością ojca. Po szeregu listów z czystymi informacjami nadeszło do siostry podsumowanie sytuacji: „Nigdy nie przypuszczałam, że może być tak dobrze żyć z tak dobrym, mądrym i bezpośrednim człowiekiem jak Mietek”. Czy nadal jest Wam tak dobrze razem, Ziuniu i Mietku? Daj Wam Boże wszystkiego, co najlepsze, Kochani!

Wrzesień 1939. Uczę w ogromnym gimnazjum im. Mickiewicza w Wilnie. Chłopców koło pół tysiąca, gmaszysko poklasztorne, rozległe, znakomicie podpiwniczone, co zastępuje nam schrony. Lekcje w pierwszej klasie o wojnach perskich, przeszło czterdziestu urwisów. Syreny zaczynają wyć, alarm, nikt się nie rusza, do szyku należy maksimum opanowania. Jest ono zresztą koniecznością, panika w wąskich przejściach do piwnic mogła być groźniejsza od nalotu.

– „Uwaga! Uwaga! Nadchodzi!”

– Mów dalej co z tym Temistoklesem?

– Flota perska...

– Uwaga, uwaga... – woźny wsuwa głowę do drzwi.

– Idziemy. Spokojnie, parami, nie biegać. Walą się bomby. A potem po nalocie biegnie się bez tchu do domu, sprawdzić, co się tam dzieje. Nasz maleński synek opowiada, wymownie machając rączkami: „Bach, bach!”

Pozwolono nam 11 listopada pójść do kościoła. Wlazłam w jakiś zakamarek, żeby chłopaki nie widzieli, jak się ich profesorka – zachowuje. Nie pomogło, nie mogłam stłumić gwałtownego płaczu, ale oto cały kościół szlochał na cały głos: od najstarszego profesora do

najmniejszego urwisa. Śpiew nie mógł wydostać się ze ściśniętych gardeł.

Strajk szkolny w obronie polskiego nauczyciela częściowo wygrany. W niektórych szkołach, np. w Żeńskim Gimnazjum im. Czartoryskiego, przebiegł w sposób jak najbardziej zdyscyplinowany. Dziewczęta codziennie otrzymywały instrukcje od Komitetu Kierującego, za którym głęboko zakonspirowane kryły się władze szkolne.

U nas to był żywioł. Szkołę porzucało ponad 500 chłopaczysków z wyciem i wrzaskiem, na podwórko leciały nie tylko kałamarze, ale stoły i ławki. Leciały przede wszystkim porozwieszane „pogane” (?). Część usuniętych nauczycieli polskich wróciła, między innymi ja, ale tylko na historię starożytną, propedeutykę filozofii i jedną klasę z nadobowiązkowego jęz. polskiego.

Zaczęła się ciężka zima pierwszej okupacji. Nieraz chłopcy przychodzili pobici przez szaulisów, bywali głodni i zaniedbani – ileż matek musiało samotnie borykać się z ich utrzymaniem. Na wychowanie nie było czasu i energii. Wszystko to stwarzało trudności z utrzymaniem dyscypliny. Bo przecież żaden polski nauczyciel nie odwołałby się do rygorów szkolnych w konflikcie z małym, niesfornym Polakiem. Najtrudniej było wychowawcom opanować klasy na lekcjach języka litewskiego.

Wśród Litwinów byli ludzie o dobrej woli i kulturze, ale byli i szowiniści udający, że nie umieją po polsku, rozmawiający z nami przez tłumacza, którzy zamieniali się w razie potrzeby w komunistów, by znów wrócić na dawne pozycje bez zajknięcia. Ci prowokowali, co mogło być groźne. Argumenty o naszej wyższej kulturze i godności narodowej nie nadawały się do głośnego wypowiedzenia. I wtedy tak wielką pomoc znalazłam

u Ciebie, Ryśku. Byłeś najlepszym, jakiegokolwiek kiedyś znałam gospodarzem klasy. W drugim roku nastąpiła fuzja z dziewczęcymi klasami od Nazaretanek, co stwarzało dodatkowe trudności, takie połączenie ognia i wody – znakomicie wychowanych, wychuchanych dziewczątek i rozhukanych chłopaczysków. Dałeś sobie radę. Byłeś zdolnym, inteligentnym uczniem, świetnym, taktownym organizatorem, wyjątkowo wyrobionym jak na Twoje bardzo przecież młode lata. I umiałeś mieć wpływ. Przy tym mieliśmy do Ciebie nieograniczone zaufanie, jakie tylko może się wytworzyć między uczniem i nauczycielem w tak trudnych narodowych warunkach. Dziś, gdy myślę serdecznie o Tobie, chciałabym Ci jeszcze raz gorąco podziękować.

Po przyjeździe Niemców szkoły rozpedzono na cztery wiatry. Jakie było moje zdziwienie, gdy wczesną jesienią wpadłam do Wilna ze wsi, gdzieśmy już do końca wojny mieszkali, i u **Anusi Paderewskiej** zastałam gotowy komplet! – Pamiętacie to spotkanie? Oficjalne komplety albo w ogóle nie ruszyły, albo jeszcze nie dotarły do szerszych kręgów młodzieży. A wyście byli już w toku pracy. Ilu Was tam było? 6-7 osób. Wzięliście lekcje matematyki i fizyki. Resztę przechodziliście zupełnie według „rozkładu materiału” ułożonego przez Ryśka.

Kiedy przypominam sobie obecne, najczęściej zupełnie niewydarzone ZMS-owskie (**Związek Młodzieży Socjalistycznej**) lekcje, nie mogę wyjść z podziwu, żeście dali radę, że potrafiliście pracować systematycznie, nie zniechęcając się trudnościami, które przecież dla Waszych młodziutkich umysłów były ogromne. Kiedy już na stopniu licealnym przystąpiliście do zorganizowanych kompletów, zapytano, kto Was tak dobrze przygotował. Urządzaliście

nawet jakieś obchody w domku z dużym ogrodem za miastem. Z rzadka przysyłałiście mi jakieś prace czy referaty do oceny. Wypisywałam wtedy obok merytorycznej krytyki jakieś morały. Nie wiem, czy przydały się na cokolwiek, ale wkładałam w nie wiele serca i myśli.

Potem nastąpiły czasy coraz bardziej burzliwe. Jakie to wyprawialiście szaleństwa w związku ze zdobywaniem broni wprost z hotelu „nur für Deutsche”. Który pierwszy poszedł do partyzantki? Franek? Jurek? Czy Zygmunt – co wrócił z tak odmrożonymi nogami, że musiano mu część obu stóp amputować („protezy są tak świetne i nawet dobrze tańczy”).

Inni wrócili po latach i latach. Niejednemu dziewczyna wyszła za innego. Jaką to placówkę objęliście swoją gromadką w czasie walki o Wilno?

Chłopcy i dziewczęta. – Kochani, Kochani... Ileż w Waszym pokoleniu było rozmachu i sił życiowych, powagi i przerażającej czasem beztroski, ale przede wszystkim młodzieńczej radości życia. Większość pokończyła potem wyższe studia w trudnościach powojennych, szczęśliwsi, że możecie się wreszcie uczyć. A trudności toście się nie bali.

Dziś przyszły trzy dziewczynki z tej samej wojennej gromadki: Teresa, Jadzia i Anusia. Jadzieńka, słodkie dziewczątko, której wdzięk zdawał się polegać na tym, że wciąż potrzebowała opieki i pozornie bała się kurczątki i motylka, a chłopcy czuli się przy niej jak rycerze powołani do obrony. Ta dzielna kobieta hoduje dziś piątkę dzieci już mocno obecnie wyrosniętych i mimo ciężkich warunków materialnych daje sobie radę. Jakież to niespodziewane pokłady siły, energii i poświęcenia tkwią w tak na pozór słabiutkiej kobiecie?

Z Teresą też życie nie obeszło się w rękawiczkach. No i Ty Anusiu, córko najmilsza i bardzo kochana, Ty artystko, skończyłaś Wyższą Szkołę Muzyczną – z rzadkim żarem wewnętrznym (tak mówił o Tobie prof. Rudziński), z mnóstwem pięknych pomysłów i inicjatyw, którymi w wyjątkowo trudnych, wprost brutalnych życiowo warunkach potrafisz urozmaicić i upiększyć życie najbliższych i tych, którzy Ci są oddani w opiekę. Ty, co umiesz tak głęboko kochać i rozumieć z zapomnieniem o sobie, a wszystko to przy kruchej konstytucji fizycznej, wielkiej wrażliwości i pracy ponad wszelką miarę. Chyba najczęściej przychodzisz na nasze spotkania nocne i Tobie najbardziej jestem jeszcze potrzebna. Z największą troską myślę właśnie o Tobie.

Z wojennych czasów już z prowincji nasunęło mi się więcej wspomnień. Miałam tam trochę indywidualnych lekcji traktowanych zarobkowo. Zarabiał się oczywiście niewiele, nauka w owych czasach nie była produktem pierwszej potrzeby. Doznawałam wiele subtelnej pomocy właśnie od ludzi najuboższych i najskromniejszych, gdyż żadna wileńska chłopka nie zawiodła mnie ani nie oszukała, choć okazji było dużo. Jedna zaproponowała mi zagon ziemi pod kartofle, inna garść rozsady kapusty, jeszcze inna poradziła, gdzie za miejską sukienkę można wymienić najlepszego parsiuczka do hodowania. Wszystko to było cenne, zwłaszcza że robione z pomysłu i z sercem. Wielką rzeczą było serce ludu wileńskiego i jego jakaś wewnętrzna kultura daleka od chamstwa, choć sporo było analfabetów. Bardzo mnie wzruszył mały trocki szewc, którego syna uczyłam – wziął minimalną cenę za śliczne butki dla naszego synka przed wyjazdem „do Polski”. Jakież były potrzebne i jak się przydały!



Czesław Płak (z lewej). Wilno, lipiec 1938 rok

Tkwę w tych papierzyskach, przepisuję, Bóg wie dla kogo i po co... – Ku czyjej pamięci minione losy, zapomniane postacie? Po jaką cholere mo i nasi przodkowie wlekli ze sobą przeszłość, która dla nas, potomnych staje się korzeniami? A może tylko balastem, ciężarem, utrudniającym stąpanie po współczesności?

Bożena Ptak – emerytowana nauczycielka języka polskiego, poetka, autorka libretta i tekstów piosenek do widowisk Zespołu Pieśni i Tańca „Ojcowizna” z Wileńszczyzny, członek Rady Fundacji Pomorskich Kresowian.

Zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego Bożeny Ptak

**Anna Kalenkiewicz-Mirowiczowa (1903–1967)*

Absolwentka historii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, uczennica Stefana Kościłkowskiego.

*Dyplom magistra uzyskała w 1927 roku na podstawie pracy *Stanowisko sejmików litewskich wobec upadku Antoniego Tyzenhauza*.*

Pochowana na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.



Wojciech Malinowski pełni służbę podczas powitania przez lokalną społeczność żołnierzy wracających z manewrów. Brześć nad Bugiem ul. Unii Lubelskiej, 23 września 1938 roku

Wspomnienia pomorskich Kresowian Emilia Maćkowiak – Poleszuczka strażniczka katyńskiej pamięci

Emilia Maćkowiak, założycielka i honorowa prezes Rodziny Katyńskiej w Gdańsku. Od wielu lat niestrudzenie zabiega o pamięć o polskich oficerach, w tym o swoim ojcu, Wojciechu Malinowskim, przodowniku Policji Państwowej zamordowanym z rozkazu Stalina w Kalininie (obecnie Twier). Poniżej drukujemy fragmenty wspomnień ze zbiorów Fundacji Pomorskich Kresowian.

Urodziłam się 6 maja 1933 roku w Brześciu nad Bugiem, stolicy województwa poleskiego na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej. Moimi rodzicami byli Wojciech i Nadzieja, z domu Gorbacz, Malinowscy. Na początku XX wieku cała rodzina mojej mamy została wywieziona na Sybir. Dziadek zmarł na zesłaniu. Babcia i prababcia podjęły próbę powrotu. Niestety, w czasie tej podróży obie zmarły na tyfus. Przeżyły osierocone dzieci - moja kilkuletnia mama i jej malutki braciszek. Mamą zajęli się wracający z zesłania Polacy, a potem dalsi kuzyni, chłopczyk trafił do ochronki w Związku Sowieckim. Los mamy był ciężki, często zmieniała miejsca pobytu, starając się jakoś sobie radzić, aby ostatecznie się usamodzielnąć. Po latach, kiedy była już mężatką, odnalazła brata i nawiązała z nim kontakt listowny. Rodzice posyłali mu pieniądze, ale po pewnym czasie kontakt się urwał. Nigdy się nie zobaczyli.

Mama nie знаła daty, ani miejsca swego urodzenia. Krewni mówili, że urodziła się „na wykopki”, więc za dzień narodzin przyjęła datę 30 września 1906 roku. Niewiele też wiedziała o rodzicach. Wydaje się, że przyczyną zesłania rodziny była jej religijność i konsekwentne trwanie przy wierze katolickiej.

Tata urodził się 12 kwietnia 1899 roku w Sowińcach w powiecie Łask, niedaleko Łodzi. Jego ojciec, Wawrzyniec Malinowski miał gospodarstwo. Gdy wybuchła I wojna światowa tata miał 15 lat. Walczył w Legionach Polskich. Po wojnie, z dobrymi wynikami, ukończył Szkołę Podoficerską Artylerii w Toruniu. Około 1924 roku wstąpił do Policji Państwowej. Na początku pracował w komendzie wojewódzkiej w Łodzi, później

poprosił o przeniesienie na Polesie. Pełnił służbę w Prypoci w powiecie łuninieckim, potem pracował jako przodownik Policji Państwowej w Brześciu nad Bugiem.



Nadzieja i Wojciech Malinowscy

Dzieciństwo w Brześciu

Rodzice pobrali się w 1926 roku. Ich małżeństwo trwało zaledwie 13 lat. Po ślubie wynajęli mieszkanie. Jednocześnie wzięli kredyt, kupili od Niemcewiczów działkę o powierzchni 2800 mkw. i rozpoczęli budowę własnego domu. Osiedle nazywało się Żabie Uroczysko i położone było na obrzeżach Brześcia. Potem tę dzielnicę nazwano Adamkowo i przyłączono do miasta. Niedaleko były Skoki i piękny dwór Niemcewiczów.

Dom został wybudowany prawdopodobnie w 1928 roku. Miał trzy pokoje, stryżek i werandę. Adres: ulica Piaskowa 16. Ja i mój brat tam właśnie się urodziliśmy. Rodzice założyli piękny, duży ogród owocowo-warzywny. Uprawiali pomidory, morele, winogrona, maliny. Mieli niemalże wszystkie owoce i warzywa w tym bób, kukurydzę, czarne porzeczki. To wszystko obowiązkowo musiało się znaleźć w naszym menu. Był także obowiązek gimnastyki, o co tata bardzo dbał. Zbierał młodzież z Adamkowa i prowadził zajęcia sportowe. Mimo braków w nauce, spowodowanych I wojną światową i koniecznością budowania państwa, pokolenie moich rodziców przywiązywało wielką wagę do kształcenia dzieci, dbania o ich zdrowie i tężyznę fizyczną. Odwiedzał nas dziadek Wawrzyniec. Bardzo lubiłam jego opowieści o łobuzowaniu moich stryjów, kiedy byli mali.

W Brześciu i okolicy było dużo wojska, a ja zachwycałam się panami w mundurach. Stacjonowali marynarze, saperzy, było lotnisko. W takim środowisku chłoniłam miłość i szacunek do ludzi i do Ojczyzny.

Potem rodzice wybudowali drugi dom – z myślą o dzieciach – niedaleko Twierdzy Brzeskiej przy ul. Przejazd 15. Zamieszkaliśmy w nim na pół roku, tuż przed wybuchem wojny. Działka, na której stał nowy dom, była dość duża. Rodzice znowu sadzili drzewa i urządzali na nowo ogród. Dom miał cztery pokoje, kuchnię, spiżarnię, podpiwniczenie. Był umeblowany. Niestety nowy dom we wrześniu 1939 został zniszczony, a stary, który rodzice sprzedali, przetrwał.

Jako dzieci mieliśmy dużo swobody, ale jeżeli źle się zachowywaliśmy wystarczyło spojrzenie taty mówiące - nie przesadzaj. Później, gdy w szkole, już po wojnie mówiłam o Katyniu i wywózkach, mama chcąc mnie chronić, też mówiła, że znowu przesadziłam.

Do dziś pamiętam piekarnię Łęckiego, jego słodycze i cukierki. Od niego tata po pracy przynosił ciasta. Były tam też czekoladki z obrazkami zwierząt. Wciąż prosiliśmy o drobne pieniądze, aby je kupować i powiększać swoją kolekcję.

Rodzice prowadzili życie towarzyskie, mieli wielu przyjaciół i znajomych. – W twierdzy był Biały Pałac, gdzie chodzili tańczyć. Lubili przyjmować u siebie gości.

Tata był wspaniałym ojcem, bawił się z nami. Tulił mnie, ścisnął, że aż czasami miałam dosyć. Później bardzo go pragnęłam. Byłam już dorosła, ale wciąż do niego tęskniłam. Często wyobrażałam sobie, że tata przeżył, a wtedy jak bardzo będę o niego dbała, troszczyła się, dogadzała. Wszystkie myśli krążyły wokół taty.



Policjanci w Brześciu nad Bugiem. Wojciech Malinowski w górnym rzędzie, drugi od lewej

Bez pożegnania

Gdy wybuchła II wojna światowa, tata został zmobilizowany do Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej w Pińsku. Był w obsłudze artyleryjskiej. Wezwany do Pińska nie zdążył się z nami pożegnać. Był na ćwiczeniach, a po powrocie natychmiast wyjechał. Rozminęliśmy się. Zostawił kartkę, że może jeszcze wróci. Ja tak się „darłam wniebogłoso”, żeby pojechać do Pińska i zobaczyć tatę, że mama zdecydowała się na tę podróż. Tymczasem zbliżały się wojska sowieckie. Jadący w pociągu wojskowi kazali nam jak najszybciej wracać. Robiło się bardzo niebezpiecznie. Na naszych oczach z pociągów wyciągano i rozstrzeliwano oficerów – szeregowych jeszcze zostawiano. Widziałam, jak na furmance siostra zakonna wiozła zamordowanego

księdza. Ona też mówiła, abyśmy uciekali, że tutaj zginiemy. Do Pińska nie dojechaliśmy.

Idąc w Brześciu od strony dworca, przez most, można było zobaczyć nasz dom. Wracając spojrzeliśmy w jego kierunku, a tam... ruina. Mama zemdłała. Ktoś się nami zainteresował, poszliśmy do znajomych sąsiadów. Mama była zrozpaczona. Nie mieliśmy nic. Nic nie zostało z naszego domu. Zatrzymaliśmy się u rodziny mojego chrzestnego. Mama starała się zaopatrzyć nas w ubrania, bo mieliśmy na sobie tylko letnie rzeczy, a był już wrzesień. Mama zawsze była energiczna i pogodna, choć jej los od wczesnego dzieciństwa, jak wspomniałam, był bardzo trudny.

Kiedy wybuchła wojna miała 23 lata, brat 9, ja 6. Była świadoma niebezpieczeństwa grożącego nam ze strony wchodzących na Kresy sowietów. Zresztą cudem uniknęliśmy wywózki. Pod nieobecność mamy, która szukała kolejnego lokum, przychodzili sowietci. Po raz drugi, gdy znowu zastali nas bez mamy, powiedzieli, że następnym razem zabiorą nas samych. Trafiali na nas, gdy przychodzili po rodziny, u których mieszkaliśmy. Żeby uchronić dzieci i siebie, mama chodziła do różnych miejsc i pytała, czy nas przyjmą.

13 kwietnia 1940 roku enkawudziści zabrali żonę mojego chrzestnego i trójkę jego dzieci. Byliśmy razem z nimi na tej liście. Mój chrzestny też był policjantem. Nazywał się Kazimierz Skarbek. Zginął tak jak mój tata. Podziwiałam ciocię Skarbkową, bo gdy weszli, zdjęła portret Marszałka ze ściany i powiedziała, że on was zniszczy jeszcze raz. W domach przedwojennych często wisiały portrety marszałka Józefa Piłsudskiego i prezydenta Ignacego Mościckiego. Sowietci rzucili tym

portretem o podłogę. Ja byłam zaskoczona jej odwagą i dziwiłam się, że jej nie zastrzelili.

Ciocia zabrała ze sobą ciepłe ubrania i trochę rzeczy, które mogła sprzedać. Na zesłaniu pomagali im miejscowi. Nic tej kobiety nie mogło złamać. Nawet na Syberii niepochlebnie wypowiadała się o Stalinie. Została za to skazana na 10 lat więzienia – i to w czasie, kiedy mogła wyjechać do Polski. Jej córka, Maria Skarbek, wróciła z zesłania w 1956 roku i zamieszkała w Gdyni. Ciocia dołączyła do niej dwa lata później. Z więzienia wracała w łachmanach, wyglądała jak żebraczka.

Poleska wędrówka

Wciąż zmienialiśmy miejsca, bo sowieci starali się trafić na nasz ślad. Trwało to dwa lata, ale udało się. W jednym z domów mieszkała babka Paraska, Rosjanka albo Białorusinka, która się ze mną drażniła i mówiła: – Twoja Polska pod piczką (to znaczy pod piecem). Ja się zdenerwowałam i odpowiedziałam: – Babko Parasko, ja was za to zarezu! Mama na wszelki wypadek poszukała następnego lokum.

Pamiętam chatę z sufitem pokrytym stonogami. Ogromna ilość. Poprosiłam mamę, abyśmy szukały dalej, bo ten widok wywoływał we mnie obrzydzenie. W jednym z gospodarstw w Skokach mieszkała pani Jadwiga, wdowa, bardzo inteligentna kobieta z dwiema córkami. Intrygował mnie znajdujący się na strychu kosz wiklinowy i zastanawiałam się, co w nim jest. Zaprowadziła mnie i pokazała zawartość. Były tam książki. Miałam co czytać. Wprawdzie do szkoły nie zdążyłam pójść, ale czytać umiałam. Nauczyłam się od

brata. Wśród ksiązek i podręczników było pismo katolickie dla dzieci i opowieść o Joannie d'Arc. Byłam nią zachwycona, książkę czytałam wielokrotnie.

Błąkając się po różnych miejscach naszą wędrówkę zakończyłyśmy u państwa Knaziaków w Kolonii Planta koło Ostromeczewa – 30 km od Brześcia. Chciałabym, aby dziś było tylu tak dobrych ludzi o otwartych sercach jak oni. Posiadali dom i duże gospodarstwo z murowanym spichlerzem. Kiedy zbliżał się front, przyjęli sześć rodzin uciekających z Brześcia. Mieli trzy córki i dwóch synów. Chłopca i dziewczynkę wywieziono do Niemiec na roboty. U państwa Knaziaków słuchaliśmy radia. Ukryli je – nie oddali go ani Niemcom, ani sowietom. To byli bardzo ciekawi ludzie. Ona miała sporą wiedzę medyczną, zielarską, nawet różę potrafiła wyleczyć. W warunkach wojennych było to bezcenne.

Do sakramentu Komunii Świętej przystąpiłam w 1940 roku w kościele w Ostromeczewie u kapucyna, ojca Anioła Dąbrowskiego – dowódcy oddziału Armii Krajowej na tamtym terenie. Dużo później poznałam pana Czesława Hołuba, żołnierza AK z Polesia, który pod dowództwem majora Jana Piwnika brał udział w rozbiciu pińskiego więzienia. W czasie wojny przebywał w naszej okolicy, lecząc odniesione rany. Miał aparat fotograficzny. Proszę sobie wyobrazić, że po 50 latach dostałam od niego moje zdjęcie komunijne!

Mama w czasie okupacji niemieckiej pomagała podziemi. Z brzeskiej twierdzy wnosila koce, buty, wszystko, co się dało, i zostawiała u gospodarza, u którego nasi żołnierze mieli punkt kontaktowy.



Nadzieja Malinowska z córką Emilią

Ekspatriacja

Nadszedł 1945 rok. Sowieci każą nam przyjąć obywatelstwo Związku Radzieckiego. Odmawiamy. Mama decyduje, że wyjeżdżamy. Jak najszybciej. Zabieramy swój niewielki dobytek. Po przejściu mostu nad Bugiem znaleźliśmy się w Terespolu. Byliśmy w Polsce. Pamiętam, że weszłam na drzewo, z którego można było zobaczyć nasz dom. Płakałam, mama płakała... Ale otrząsnęliśmy się i powiedziałyśmy sobie: Trudno, trzeba się organizować na nowo i żyć dalej.

Miałam 12 lat. Zaczynaliśmy od początku. Nie staraliśmy się o wygodne lokum, bo byliśmy przekonani, że wkrótce wrócimy do Brześcia. Tak się jednak nie stało. Zatrzymaliśmy się w Zbuczynie koło Siedlec u brata taty – Władysława, potem do 1948 roku mieszkaliśmy w Łodzi. Uważaliśmy, że z rodziną będzie nam łatwiej, że się nami zaopiekują, ale to nie były dusze kresowe...

Mama, jadąc pociągiem, przypadkiem spotkała moją chrzestną – Antoninę Wiśniewską. Zdążyły wymienić adresy. Pojechaliśmy do niej do Pabianic. Ciocia mieszkała w piętrowym domku. Wkrótce mama też taki otrzymała w Pabianicach za mienie pozostawione w Brześciu. Przez całą wojnę nasze dokumenty i zdjęcia nosiła przy sobie w materiałowym woreczku. Ale radość była krótka. Ulokował się tam milicjant, który mamę pogonił.

Powojenna rzeczywistość

Poszłam do szkoły wieczorowej. Przed południem pracowałam, aby ulżyć mamie. Znalazłam pracę u adwokatów. Było ciężko, nic nie mieliśmy. Musieliśmy

wszystko od nowa kupować. A ja miałam do nadrobienia cztery lata nauki.

Powojenna, komunistyczna rzeczywistość była ponura i niebezpieczna. Starłam się znajdować sposoby, aby to wszystko jakoś przetrwać. Tańczyłam w balecie, śpiewałam w chórze w domu kultury. W szkole, w której później pracowałam, organizowano wycieczki. Uczestniczyłam w nich i w ten sposób poznałam Polskę. Dawałam sobie radę, ale też pomagałam innym, żeby wspólnie przetrwać zło, które nas otaczało. Mama uważała, że powinniśmy mieć życie towarzyskie. Nie wszyscy rodzice zgadzali się na spotkania w domu, a moja mama zachęcała do kontaktów z przyjaciółmi. Oddawała na spotkania i zabawy całe mieszkanie. Nie trzeba było butów zdejmować, można było tańczyć, grać i śpiewać. To bardzo pomagało, a dziś mam dużo wspomnień. Tak więc mama całą uwagę przeniósła na nas. Dbała, żebym dobrze wyglądała. Szyła mi sukienki. Sąsiedzi, państwo Gąsienicowie – ekspatrianci z Kobrynia – otrzymywali paczki z Francji. Pierwsza miałam dostęp do tych rzeczy i mogłam się ładnie ubierać. Ta pomoc była wyrazem wdzięczności ze strony uratowanych przez nich Żydów, którzy po wojnie odnaleźli ich i pomagali materialnie.

Lata stalinowskie

Do mojej szkoły przyjechał z Wielkiej Brytanii nauczyciel, który uczył języka angielskiego oraz nauki o Polsce i świecie współczesnym. Na którejś lekcji powiedział, że oficerowie, którzy zginęli w Katyniu byli zdrajcami, a ludność wywożona na Syberię to najgorszy element, który należało wykończyć. Nie wytrzymałam

i zaprotestowałam. Powiedziałam o ojcu, który był wojskowym i podkreśliłam, że byli to najwspanialszy ludzie, a mogłam porównać ich z ruskimi, bo widziałam Armię Czerwoną w działaniu. Wskazałam na siebie jako przykład tego złego elementu, bo byłam przeznaczona do wywózki. Profesor zgłosił to do dyrektora, a dyrektor – jeszcze przedwojenny – pogłaskał mnie po głowie i powiedział: - Po co ci to było? Kazał przeprosić. Odmówiłam. Skończyło się na codziennym, trwającym godzinę uświadamianiu. W gabinecie słyszałam, że jestem nieprzystosowana do nowej rzeczywistości, że powinnam to zmienić. Odpowiedziałam, że nic nie zmienię i wobec tego szkoda czasu pana profesora. Na pierwszomajowych pochodach zostawiałam szturmówkę i szłam do domu. W konsekwencji na forum szkoły byłam przedstawiana jako wróg nowego ustroju. To, że nie „siedziałam” zawdzięczam tylko Bożej Opatrzności.

Dalsza nauka była praktycznie niemożliwa. Jedynym moim wyborem mógł być kierunek artystyczny w Kielcach. Tam tak nie wnikali w życiorysy. Inne uczelnie były dla mnie niedostępne. Kiedy byłam małą, tatuś pytał, kim chcę zostać. Mówiłam, że aktorką. Wtedy brał się za głowę. I kiedy było to możliwe, mama przypominała słowa taty i powiedziała: - Nie staraj się. Pojawiła się też propozycja przyjęcia do Mazowsza. Pojechałam, egzamin zdałam, ale nie znałam solfeżu. Zalecono lekcje, ale nie miałam pieniędzy i zrezygnowałam. Honor nie pozwalał, żeby poprosić o wsparcie.

Informacja o związku bliskich z Katyniem, albo o ich śmierci na Wschodzie wykluczała z możliwości dalszej

nauki lub znalezienia dobrej pracy. Na studia mogła się dostać młodzież, która ukrywała swoje pochodzenie. Brat skończył zawodówkę. Przy danych ojca pisałam „urzędnik państwowy, zginął na Wschodzie”. Zawsze prowadzili dochodzenie.

Pułkownik z sowieckiej ochrony

Mój brat i koledzy wchodzili w wiek wojskowej służby zasadniczej. Odprowadzałam ich i stąd często bywałam na terenie jednostki. Pewnego razu przyszłam tam z telegramem. Przyjął mnie pułkownik Bombski, który powiedział, że podpisze odbiór, ale pod warunkiem, że przyjdę do niego do pracy. Wyjaśniał, że ma kłopoty kadrowe, a wydaje mu się, że lubię wojsko. Odpowiedziałam uczciwie, że nie mogę u niego pracować, ale on się uparł i załatwił mi przeniesienie. Z pracy byłam bardzo zadowolona.

Po pewnym czasie pułkownik wezwał mnie i powiedział, że w moim kwestionariuszu są jakieś nieprawidłowości. Po przeprowadzonym dochodzeniu, pułkownik dowiedział się wszystkiego, ale zapewnił mnie, że będę pracowała z nim, dopóki go nie przeniosą, a potem znajdzie mi inną pracę. I tak się stało.

Pułkownik Bombski był u Berlinga. Jako młodociany wstąpił do armii z sowieckiej ochrony. Opowiadał o cukierkach od Stalina, które spadały z sufitu, i inne historie ze swojego życia. Rodziców stracił bardzo wcześnie. Prawdopodobnie jego los był taki jak mojej mamy i jej brata. Wiedział tylko, że jest Polakiem i kiedy formowała się polska dywizja skorzystał z tego, by wydostać się z Rosji. Pytał mnie, jak spędzam czas w niedzielę. Powiedziałam, że chodzę z przyjaciółmi

do kościoła, potem do kina, na wycieczkę, do parku. Był zdziwiony, że chodzę do kościoła. Wyznał, że w głębi duszy bardzo mu tego brakuje, że lubi obserwować procesje. Nawet prosił, bym śpiewała mu pieśni religijne.

Na początku lat 50. przeniósł się z Pabianic do Warszawy. Wcześniej zapewnił mnie, że znajdzie mi taką pracę, gdzie nie będą wymagać przynależności do Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) ani Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR).

Zacząłam pracować w szkole, w której dyrektorem był komunista. Wiedział, że nie będę należeć do partii. Ale nie było nacisków i tam zostałam.

W Pabianicach przyjaźniłam się z kolegą, który prowadził drużynę harcerską, elitarną, „Trójkę”. Harcerze byli zawsze obecni w kościele na mszy i na różnych uroczystościach. Pracując w wojskowości, zauważyłam, że po odbytej służbie zasadniczej pojawiali się panowie i namawiali młodych mężczyzn do wstąpienia do milicji i aparatu bezpieczeństwa. Szkoła, w której pracowałam, mieściła się naprzeciwko budynku Urzędu Bezpieczeństwa. Dochodziły stamtąd straszne krzyki. Funkcjonariusze przychodzili do nas, aby zorientować się, czy to słyhać. Któregoś dnia przypadkiem spotkałam drużynowego „Trójki”, jak wychodził z budynku UB. Zapytałam go, jak to się stało, że wychodzi stamtąd niez maltretowany. Wyjaśnił, że tam pracuje. Byłam zszokowana. Powiedziałam mu, że w tej sytuacji nasza przyjaźń jest zakończona.

Przyjazd do Gdańska

Do Gdańska przyjechałam w 1956 roku, miałam 23 lata. Udało mi się znaleźć kogoś, kto Gdańsk chciał

zamienić na Pabianice. Dobrze się stało, bo mama zaczęła chorować. W Gdańsku spotkałam sąsiadów, przyjaciół z Brześcia. Nasze matki pomagały sobie nawzajem. To był cud, że znowu byliśmy razem. Byli Skarbkowie, moja chrzestna Wiśniewska, Chamlukowie, Tracewscy, Wójcicy, Włochowie i wielu innych. Mężczyzn przeważnie nie było.

Za mąż wyszłam w 1958 roku za Zygmunta Maćkowiaka, nazywanego przez przyjaciół Maćkiem. Był wesoły, sympatyczny, podobał się dziewczętom. Na początku to była przyjaźń, ale potem zaczęliśmy myśleć o sobie poważnie. Problemem był brak mieszkania i zameldowania. Wreszcie dostaliśmy małą klitkę. W zameldowaniu pomogła nam poznana komunistka, która przeżyła obóz w Ravensbruck. Uważała, że Pan Bóg nie mógł dopuścić do tego, co tam się działo. Otrzymywała odszkodowanie, które przekazywała potrzebującym. Okazała się pomocnym, dobrym człowiekiem. Nazywała się Stanisławska. Odwiedzam jej grób.

Solidarność i stan wojenny

W 1980 roku, kiedy zaczął się strajk, pracowałam w gdańskim oddziale krakowskiej firmy „HydroGeo”. Obserwowałam wszystko z bliska. Kiedy Lech Wałęsa porozumiał się z władzą i strajk miał się zakończyć, Anna Walentynowicz sprzeciwiła się. Bo co z resztą zakładów w Polsce? Powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. W moim zakładzie nikt się nie garnął, więc ja się zgłosiłam. Znalazłam się na terenie Stoczni Gdańskiej. To był dla mnie jeden z najpiękniejszych okresów w moim życiu. Poznałam tam ludzi o tożsamych poglądach, bliskich mi ideowo.

Nadzwyczajna atmosfera. Potem koniec strajku, euforia i radość – aż do wprowadzenia stanu wojennego.

Pisałam na maszynie i rozprawdzałam ulotki. Nie angażowałam nikogo – za wyjątkiem pochodzącego z Wileńszczyzny Antka Bogdanowicza, brata księdza infułata Stanisława Bogdanowicza. Miałam do niego absolutne zaufanie. W kościele Mariackim ukryliśmy z Antonim dokumenty z tamtego czasu tak skutecznie, że do tej pory nie możemy ich znaleźć. Nie natrafiono na nie nawet w czasie remontów bazyliki.

Przesłuchania w komendzie milicji, na które zabierano mnie z pracy, zaczęły się już w latach 70. i trwały też w latach 80. W lutym 1984 roku aresztowano moją córkę, która była spikerką Radia Solidarność. Miała 25 lat. Były rewizje, kolejne przesłuchania.

W trakcie jednej z rewizji prowadząca kazała funkcjonariuszowi zejść ze mną do piwnicy. Na dole powiedział: - Niech pani nie otwiera, poczekamy trochę i wrócimy. To, co mogło ich zainteresować, było w innej piwnicy. Po rewizji zabrano książki o Katyniu i maszynę do pisania. Wróciła tylko maszyna. Pytano mnie o powód zainteresowania Katyniem, a także o to, czy wiem kto to zrobił. Odpowiedziałam prowadzącej, że po przeczytaniu książki, znajdzie właściwą odpowiedź.

W tym czasie córka siedziała w więzieniu. Podjęliśmy starania, żeby ją wyciągnąć. Zwróciliśmy się do Episkopatu Polski. Trzeba było znaleźć jakiś powód medyczny. Doktor Wyszomirski zalecił, żeby któreś z nas znalazło się w szpitalu. Zdecydowaliśmy, że będzie to mąż, który kaszłał. W trakcie badań okazało się, że ma nowotwór nerki. Sytuacja była nie do uratowania. Córkę wypuszczono jakiś czas przed amnestią.

Rodzina Katyńska

Tata pisał do nas z Kozielska, potem z Ostaszkowa, ale wiedząc, co nam grozi, listy adresował do sąsiada, nauczyciela gimnazjum rosyjskiego – Oniszczuka. Wszystkie były podobne, pełne troski o nas i zapewnień, że niedługo wróci. Mama z kolei nie napisała tacie, że nie mamy domu. Potem listy przestały przychodzić. Mama w obawie o nasze bezpieczeństwo zniszczyła całą korespondencję.

O losach polskich oficerów wiedzieliśmy już w 1940 roku, ale dopiero Niemcy potwierdzili ten fakt w 1943 roku. Nie było tam nazwiska taty, ale nie wiedzieliśmy jeszcze o Charkowie i Miednoje. Dopiero Gorbaczow w 1990 roku przekazał nam listy z nazwiskami z pozostałych obozów. A potem doszła informacja o Bykowni na terenie obecnej Ukrainy i o Kuropatach koło Mińska na Białorusi. Do tych dokumentów nie mamy dostępu, dlatego nie możemy odnaleźć około 3000 oficerów.

Mama całe życie czekała na tatę, nie wierzyła w jego śmierć. Czekały też inne żony oficerów. Kiedy zakładałam Rodzinę Katyńską, na Pomorzu żyło jeszcze 50 wdów.

Przez całe życie zbierałam wszelkie informacje na temat Katynia. Kiedy spotykałam się z dziennikarzami zagranicznymi, zawsze o to wypytywałam. Otrzymywałam książki, opracowania, przede wszystkim z polskich środowisk w Anglii.

W 1988 roku już można było się organizować. Pojechałam do Warszawy i przy kościele zobaczyłam, że ktoś nalepia plakat o mszy za marszałka Piłsudskiego. Okazało się, że był to pan Stefan Melak, założyciel

Komitetu Katyńskiego. Dowiedziałam się także, że Rodziny Katyńskie wspiera ks. Stefan Niedzielak. U niego poznałam Bożennę Łojek, która zginęła w katastrofie smoleńskiej w 2010 roku. Początkowo jeździłam do Warszawy. Tam skupiały się nasze działania. Po pewnym czasie Bożenka stwierdziła, że trzeba zainicjować ruch katyński w każdym większym mieście. zaproponowała, żebym założyła Rodzinę w Gdańsku. Przez pewien czas byłam przewodniczącą Federacji Rodzin Katyńskich, ale trudno mi było, mieszkając w Gdańsku, aktywnie działać w Warszawie, więc zrezygnowałam.

Byłam z polską delegacją w Moskwie na rozmowach w sprawie budowy polskich cmentarzy. Jeździłam tam przez kilka lat – od 1992 do 1995 roku. W 1996 odbyły się ekshumacje. Weszłam do dołów śmierci, złożyłam kwiaty i zapaliłam znicz. Na terenie Miednoje zachowały się nawet mundury. Niestety, po zetknięciu z powietrzem rozsypywały się. Szczątki ludzkie przekładano do trumien. To było niezwykle, ale i bardzo trudne przeżycie. Wiedzieliśmy, że nasi bliscy będą mieli swoje groby. Trzech generałów miało indywidualne pochówki. W dołach przetrwały listy, odznaczenia, fotografie, przedmioty osobiste, które ostatecznie trafiły do Muzeum Katyńskiego w Warszawie.

W latach 90. Rodzina Katyńska działała niezwykle aktywnie. Powstawały cmentarze w Rosji i miejsca pamięci w polskich miastach. Organizowaliśmy konferencje popularyzujące wiedzę o Zbrodni Katyńskiej. Gościliśmy, m.in. prof. Janusza Zawodnego, prof. Natalię Lebediewę z Memoriału, która jako

pierwsza odnalazła w moskiewskim archiwum dokumenty dotyczące zbrodni. W wyniku naszych starań Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwałą z 2007 roku ustanowił dzień 13 kwietnia Dniem Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej.

W latach 90. jeszcze żyły wdowy katyńskie. Nierzadko były w trudnej sytuacji materialnej. Pomagałam im w załatwianiu emerytur, choć najczęściej były to tylko renty.

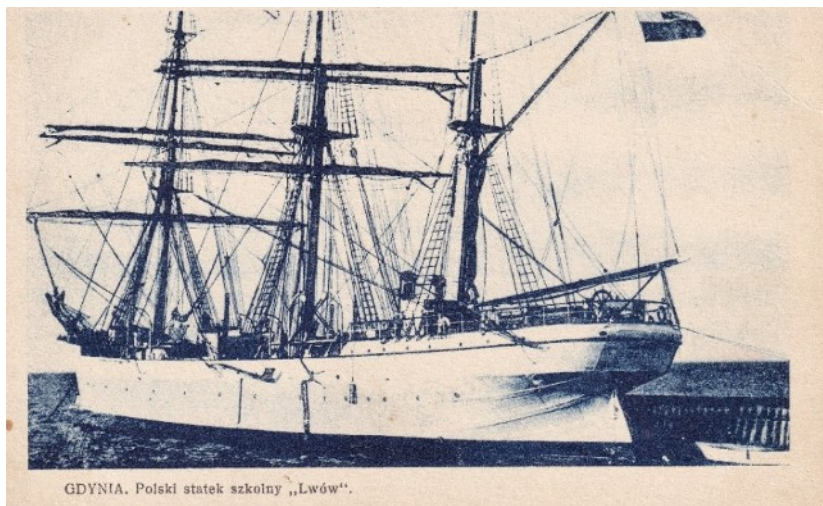
Od lat trwa akcja sadzenia Dębów Katyńskich, które upamiętniają ofiary. Zazwyczaj sadzimy je na terenie szkół. Zwracamy się do wojska, policji, urzędów miasta. Do tej pory posadziliśmy około 5000 dębów. Dąb mojego taty został posadzony w 2010 roku w Pruszczu Gdańskim.



Emilia Mačkowiak z domu Malinowska Fot. Bożena Rzepiak

Fragmenty wspomnień Pani Emilii Maćkowiak opracowała Bożena Rzepiak, która w Fundacji Pomorskich Kresowian zajmuje się dokumentowaniem i archiwizacją kresowego dziedzictwa.

Zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego Emilii Maćkowiak



GDYNIA. Polski statek szkolny „Lwów“.

Ze zbiorów Janusza Warchoła

„Lwów” na równiku

Sto lat temu, 13 sierpnia 1923 roku, żaglowiec szkolny „Lwów” jako pierwszy statek pod polską banderą, przekroczył równik. Komendantem jednostki był Tadeusz Ziółkowski, kierownikiem nauk Mamert Stankiewicz, bohater powieści „Znaczy kapitan” Karola Borchardta.

W rejs do Brazylii „Lwów” – zakupiony w 1921 roku żaglowiec Szkoły Morskiej w Tczewie wypłynął 23 maja 1923 roku. W „Dzienniku podróży s/s «Lwów» z Gdańska do Brazylii” radiotelegrafista Alojzy Kwiatkowski zanotował: „Wyruszamy z portu gdańskiego. Odprowadzają nas na morze statki «Pollux» z budowy portu Gdynia i «Kopernik» ze Szkoły Morskiej Tczew. Zajeżdżamy do Gdyni, gdzie schodzi z «Lwowa»

p. Chrzanowski, dyrektor Departamentu Marynarki Handlowej. O 10.00 opuszczamy polskie wybrzeże, o 23.00 mijamy latarnię Rozewie”. Po trzech miesiącach, w sierpniu 1923 roku „Lwów” przekroczył równik, co radiotelegrafista Alojzy Kwiatkowski odnotował z kolei w dzienniku okrętowym tak: „Przechodzimy równik, chrzest ogólny równikowy. Wiatr wzrasta”.

Chrzest równikowy

Jeden z 29 uczniów Wydziału Nawigacyjnego biorących udział w rejsie – Tadeusz Dębicki – napisał i wyreżyserował przedstawienie z okazji uroczystości chrztu równikowego. Uczniowie odegrali je pięknie i z zaangażowaniem.

Bogdan Gawęcki (późniejszy uczestnik inwazji na Normandię w czerwcu 1944 roku) odegrał rolę Nawigatora – ubrany w kapitański mundur, doskonale naśladując kpt. Mamerta Stankiewicza, gromko krzyknął: – Znaczą równik na rumbie! Jana Ćwiklińskiego kolega Dębicki wybrał do roli Neptuna, a piękną Amfitrytą został Bolesław Andrzej Haggmajer (w 1940 roku zamordowany w Charkowie). Króla Heroda odegrał Staszek Kapica.



Chrzest równikowy

Ze zbiorów Sali Tradycji Uniwersytetu Morskiego w Gdyni.

Brazylijskie przywitanie

Polonia z Parainagui (w stanie Parana) „oczekiwała przybycia «Lwowa» z wielką niecierpliwością i utęsknieniem. Od chwili otrzymania wiadomości o wyruszeniu «Lwowa» w podróż na wody brazylijskie, prawie każdy z numerów trzech pism polskich, wychodzących w Kurytybie przynosił jakąś pełną sentymentu wiadomość o tym statku” – wspominał ten rejs w 1933 roku miesięcznik „Morze”.

„Zresztą egzotyczna jeszcze w owych czasach bandera polska, powiewająca na gaflu «Lwowa», spotkała się także i u obcych z przejawami sympatii. W podróży tej «Lwów» miał – niestety – przeważnie wiatry niepomysłne, co wywołało opóźnienie przybycia statku

nie tylko do Brazylii, ale także i do oczekującego nań portu francuskiego Le Havre. Ojcowie tego miasta przez cały tydzień odkładali z dnia na dzień przygotowane uroczyste przyjęcie statku, zanim mogli nareszcie okazać uczucia swej sympatii załodze «Lwowa», dobrze utrudzonej zmaganiem się z wichrami Morza Północnego”.

Jedno z pism humorystycznych, wychodzących w Hawrze, «La Cloche» z dnia 23 czerwca 1923 roku. (nr 195), skorzystało z okazji, aby dokuczyć ojcom miasta i zamieściło na swych łamach humoreskę pt. «Le vaisseau fantome» («Statek-widmo») oraz ilustrację, która przedstawia wieżę sygnałową portu w Hawrze z komitetem przyjęcia «Lwowa» i sztabem kucharzy, wypatrującymi przez lunety spóźniających się gości.

Jakie echa wywołało przybycie «Lwowa» do Brazylii wśród tamtejszej Polonii świadczy następujący wyjątek z kurytybskiego «Świt» (z dnia 18 września 1923 roku, nr 38):

Szlakiem, którym z sinego Bałtyku w służbie duńskiej płynął na odkrycie Grenlandii przed Kolumbem jeszcze Jan z Kolna Łomżyńskiego, którym na czele wojsk holenderskich pod mury Bahii podązał Krzysztof Arciszewski, tą drogą, którą od 50 z górą lat płynie na Antypody fala ludu naszego, zasiedlająca dziś tak tłumnie Parane, zawita! do nas «Lwów» — «wilczęta morskie» na swym wioząc pokładzie.

W odświętny dzień 7 września wpłynął do przecednej zatoki Rio de Janeiro On. Niepodległej Polski znak widomy, Jej radości z wyzwolenia zamorskiej siostrzycy wyraz.

Za parę dni ujrzymy Jego żagle białe. Orła Białego symbol,

*my wygnańcy dalecy, ongiś bezdomne sieroty, dziś chramu
Potężnej Ojczyzny współbudowniczy, ujrzymy barwy nasze
na morskiej banderze.*

*Wraz z nim przybywa ku nam «Pierwsza brygada» tych, co
po morzach odległych i lądach dalekich roznosić będą
polskich barw narodowych splendor, imienia polskiego
chwałę, polskiego wychodźcy cenne wartości, polskiej
pracowitości dorobek.*

Witajcie, witajcie nam, promiennego Jutra zwiastuny!

*Płyną ku nam wraz z Wami nowej misji dziejowej Polski
wskazania, nowe naszej pracy otwieracie nam horyzonty.*

*Na żaglach «Lwowa» w miejsce dawnego «Polska od
morza do morza» hasło nowe «Polska od morza za morze»
zda się lśnić w bieli i purpurze.*

Tak.

*Odzyskany Bałtyk to w świat daleki brama na ścieżaj
otwarta, to droga szeroka ku morzom, ku nowym terenom.
To trakt, który myśl polityczna polska dla nowych ma
utorować pokoleń, to nici serdeczne, łączące Wychodźstwo
z Macierzą uwiązane.*

*Traktem tym popłyną w świat nowe szeregi wychodźców,
ale nie tułaczy już, miotanych niedolą życia i przemocą
wrogów, ale świadomych celu pionierów, co nowe dla
narodu tereny podbijając, polskiej żywotności i siły
dowody składać. Dolskiej myśli szerzyć ideały, dla
polskiego handlu i przemysłu nowe rynki zdobywać będą.
Polsce za morzem służyć, to nasz program który nam
«Lwów» niesie.*

Witamy «Lwów».

«Lwów»" zawsze wierny.

*«Lwów», który w najgorętszych chwilach, w najcięższych
momentach w służbie Rzeczypospolitej me zawiódł.*

«Lwów» mężny, wytrwały, niestrudzony.

*«Lwów», który nam program pracy niesie, tenże «Lwów»
za przykład niech nam stanie*

*Marzenia na czyn przekuć, zamiary nad siły
urzeczywistnić, Polski Wielkiej i Potężnej wśród trudów
świata gmach dźwigać, wspaniały oto nasz cel.*

*Wytrwale, mężnie, niestrudzenie, wiernie, jak «Lwów» —
zawsze wierny.*

Witaj, Zwiastunie nowego życia!

W i t a j !

Te dwa fragmenty z podróży brazylijskich «Lwowa» są najlepszą ilustracją tego, jakie znaczenie posiada bandera morska dla zbliżenia z innymi narodami i z naszą emigracją”.



Ucieczka i „Mamert Holmes”

W Saõ Paulo Tadeusz Dębicki razem z kilkoma szkolnymi kolegami, m.in. Zdzisławem Cedrą, Bogdanem Gawęckim, Pawłem Traczewskim i Czesławem Antkowiakiem... uciekł ze statku, by pozostać i pracować w Brazylii. Kapitan Tadeusz Ziółkowski zawiadomił o dezercji policję, która po kilku dniach większość zbiegów wyłapała (uciekło w sumie 20 uczniów i 6 członków załogi, na pokład odstawiono 18 osób).

W drodze powrotnej Tadeusz Dębicki z uczniami Wacławem Fedorowiczem i Wacławem Zagrodzkim napisali i zilustrowali jednodniówkę „Na skrzydłach passatu”, w której zamieścili m.in. rymowany poemat pt. „Ucieszne przygody trzech emigrantów ze «Lwowa» w Brazylii i jak to przyszło, że znowu na statek wrócili”. A w kolejnej jednodniówce, napisanej po przesiadce z żaglowca na „Pologne” w styczniu 1924 roku i zatytułowanej „W wrót starej ziemi”, w prześmiewczej kronice donosił, że „Polski Związek Detektywów w uznaniu zasług położonych w Brazylii na polu wywiadowczo-detektywistycznym mianował Mamerta Holmesa swoim honorowym prezesem”.

Inny z uciekinierów Paweł Traczewski tak po latach napisał: „W kraju, po upokarzających rozmowach z władzami Szkoły Morskiej (na co w pełni zasłużyłem), zostałem przyjęty z powrotem, straciwszy cały rok”.

Wigilia na „Lwowie”

W drodze powrotnej z Brazylii załoga i uczniowie świętowali Boże Narodzenie. Opisał to tak Bogdan Gawęcki: „23 XII 23 po południu wysłaliśmy depeşe z życzeniami świątecznymi do Polski. Radio odebrał

jakiś statek amerykański jadący do Europy. Może już w Wigilię gazety umieściły ten telegram. Wyobrażam sobie radość naszych najbliższych po przeczytaniu naszych życzeń. Nadszedł dzień Wigilii. Wieczorem zarządzono zbiórkę w międzypokładzie. Przyszli stary, Mamert i formalny. Dzielili się z nami opłatkami wykonanym w naszej kuchni. Przyniesiono choinkę, której nikt się nie spodziewał. Zrobiono ją na projekt Nowaka. Gałęzie wycięto z drzewa bardzo misternie. Jako ozdoby służyły [...] modne damy z żurnalów, które przyozdobiono na anioły, z blachy skręcono spiralne sople, pozawieszano [...] naszyjniki z Cabo Verde, dla przypomnienia zrobiono parasole (gdyż na „Lwowie” istnieje tylko jeden doktorski), na końcach gałęzi umieszczono różnokształtne szalupy i inne koszyczki do cukierków, ze smakołyków zwisały jakieś upieczone serca i marszpikle. [...] Pod choinką stała szopka wprost artystycznie wykonana przez Gottschalka. Na tle szopki widniał niebieski papier podziurkowany, uwzględniający znaki konstelacji niebieskich. Po wspólnym zaśpiewaniu «Wśród nocnej ciszy» , «Gdy się Chrystus rodzi» zasiedliśmy do kolacji, składającej się z czernicy świńskiej, wyjątkowo dobrej fasoli, nadzwyczaj smacznych bułek, nadziewanych śliwkami. Cały wieczór spędziliśmy wśród śpiewu i wspomnień z lat młodszych. Pierwsza to była Wigilia (i pewnie nie ostatnia), którą spędziłem poza domem.

Święta spędziliśmy dość wesoło. Lecz 27 XII ocean sprowadził nam na pożegnanie niebywałą dotąd burzę. Po południu zwinęliśmy żagle prócz sztormowych wśród ogólnego niezadowolenia. Odzywały się głosy: „«przy lada większym wietrze stary zwija żagle», «trzeba się

naprawdę poświęcać, żeby jechać z takim kapitanem”». Stary jednak słusznie postąpił. Wiatr się zwiększał, a barometr spadał na łeb, na szyję, najwidoczniejszy znak zbliżającego się cyklonu. Przebrasowaliśmy na prawy hals i stanęliśmy w dryfie. O sztormie odebrał Kwiatkowski radio. Burza trwała od wieczora przez całą noc. Porwał się fokszentsztaksel [...]. Przy takim ładunku, jaki mieliśmy do Brazylii, wątpię, czy wyszlibyśmy cało. Cyklon na szczęście minął nas o północy. Barometr spadł podczas burzy do 758 mm. Zaczęła się angielska pogoda: mgła i z drobnym dżdżystym deszczem. [...] Dnia 31 grudnia, po 77 dniach podróży, wieczorem dyżurny na baku zobaczył angielską latarnię morską Lizard”.

Z dziennika marynarza

Reportaże z podróży, wysyłane z portów publikował warszawski „Tygodnik Ilustrowany”, którego redaktorem naczelnym był wybitny dziennikarz, a przy okazji także ojciec Tadeusza. W kraju napisał on obszerny, liczący 91 stron reportaż, opublikowany w 1925 r. przez Gebethnera i Wolfa pt. „Z dziennika marynarza: na pokładzie «Lwowa» z Gdańska do Rio de Janeiro i z powrotem”, m.in. z wykazem osób biorących udział w 261-dniowej wyprawie morskiej (oficerowie, uczniowie, marynarze). Książka ta została wpisana przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego do kanonu lektur dla szkół średnich.

Małgorzata Sokołowska – dziennikarka, badaczka i propagatorka dziejów Gdyni, redaktorka Kuriera Morskiego, pisma Uniwersytetu Morskiego w Gdyni.



Zygmunt Olszewski, Robert Gasiński i Bartłomiej Garba przy naprawie powstańczego krzyża, 2013 rok

Krzyże w Ejszyszkach

Niektóre podróże na Kresy Wschodnie – ziemie należące dawniej do II Rzeczypospolitej, a dziś znajdujące się na terenie Litwy, Białorusi czy Ukrainy – pozostają na trwałe w pamięci. Jednym z takich wyjazdów była dla mnie wizyta w niewielkim mieście Ejszyszki (lit. Eišiškės) na Litwie.

Pojechałem tam 25 października 2013 roku w ramach delegacji z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Towarzyszył mi Bartłomiej Garba, również

pracownik muzeum. Po miasteczku oprowadzali nas z kolei mieszkańcy Wilna: Zygmunt Olszewski „Korek”, kombatant Armii Krajowej, oraz Robert Gasiński – przedstawiciel Klubu Miłośników Broni Wojskowej na Litwie, a także Kazimierz Bohdziun – lokalny pasjonat historii Ejszyszek.

Powstańcze historie

Ejszyszki położone są tuż przy granicy z Białorusią. Miasteczko zamieszkuje liczna grupa Polaków. Okoliczne tereny w sposób szczególny związane są z historią Powstania Listopadowego i Powstania Styczniowego. To właśnie pod Ejszyszkami podczas Powstania Listopadowego potyczkę z Moskalami stoczył cofający się z Puszczy Rudnickiej oddział akademików wileńskich pod dowództwem Emeryka Stankiewicza. Natomiast po wybuchu Powstania Styczniowego, gdy w lutym 1863 roku przechodził przez te tereny oddział Ludwika Narbutta, w Ejszyszkach dołączyło do niego 80 powstańców z księdzem Józefem Horbaczowskim na czele. Duchowny ten jako pierwszy w powiecie lidzkim ogłosił Manifest Rządu Tymczasowego. Podobnych zdarzeń wymienić można oczywiście o wiele więcej.

Historia obu powstań była burzliwa – sukcesy przeplatały się z dotkliwymi stratami. W walkach, potyczkach i zasadzkach zginęło wielu naszych rodaków. Czas zatarł już niestety pamięć o niejednym z walczących. Wspomnienie o pewnym żołnierzu zachowało się jednak dzięki przodkom mojego towarzysza podróży – Zygmunta Olszewskiego. Familia ta przed wojną posiadała w Ejszyszkach trzy domy

i duże gospodarstwo. Tuż za miastem, przy drodze do Raubiszek na kolonii – jak to kiedyś mówiono – stał także należący do nich domek letniskowy.

Według rodzinnych przekazów to właśnie w 1863 roku na drodze – tuż przy wspomnianym domku letniskowym – Moskałe zabili jednego z powstańców. Poległego prawdopodobnie pochowano na cmentarzu w Ejszyszkach. Rodzina Olszewskich przechowała jednak także pamięć o miejscu i okolicznościach jego śmierci.

Kiedy w 1918 roku Polska odzyskała niepodległość, ojciec Zygmunta Olszewskiego – Michał Olszewski – wyszedł z inicjatywą oddania hołdu zmarłemu powstańcowi. Na początku lat 20. XX wieku w miejscu śmierci żołnierza postawiono dębowy krzyż. Wykonało go kilku cieśli – krzyż według przekazów liczył bowiem około 9–12 metrów wysokości. Dodatkowo ozdabiały go pięknie wyrzeźbione wykończenia ramion oraz ołtarzyk.

Krzyż przetrwał właściwie nietknięty do zakończenia II wojny światowej, ale kolejne lata były już dla niego mniej łaskawe. Kilkukrotnie został przewrócony i złamany przez wrogo nastawionych wobec symboli religijnych komunistów. Rodzina Olszewskich i jej przyjaciele – najczęściej pod osłoną nocy – podnosili krzyż i stawiali ponownie na jego miejsce. Niestety, na skutek tych zniszczeń – zwłaszcza kolejnych złamań – krzyż stawał się coraz krótszy. Na niekorzystne zmieniło się po wojnie także jego położenie. Zniknął bowiem wspomniany domek letniskowy – krzyż stał więc samotnie przy ślepej drodze.

Kiedy przybyliśmy na miejsce w październiku 2013 roku, ujrzeliśmy opuszczony krzyż niemal w szczerym polu. Od najbliższych zabudowań dzieliło go kilkaset metrów. Niekonserwowany i przegnity u podstawy chylił się ku upadkowi. Widok był tak przejmujący, że chcieliśmy jakoś pomóc, choćby doraźnie. Wykopaliśmy nowy dół i ustawiliśmy tam krzyż, który u podstawy zabezpieczyliśmy przed upadkiem kamieniami pozbieranymi na okolicznych miedzach.

Od tego zdarzenia minęło już ponad 10 lat. Zastanawiam się, czy krzyż przetrwał. Bez fachowej opieki konserwatorskiej wydaje się to wątpliwe. Tak naprawdę powinien znaleźć się w jakimś muzeum, a na jego miejscu należałoby postawić nowy krzyż upamiętniający zmarłego powstańca.

Z pobytu w Ejszyszkach zapamiętałem również inną historię związaną z krzyżem. Później udaliśmy się do jednego z dwóch domów należących do rodziny Zygmunta Olszewskiego. W ogrodzie staraliśmy się znaleźć miejsce, gdzie pan Zygmunt – w obawie przed NKWD – zakopał swoje pamiątki z czasów partyzantki. Poszukiwania okazały się bezowocne. Trafiliśmy jednak na inny skarb. Na jednej ze ścian w opuszczonym i przygotowanym do sprzedaży domu zobaczyliśmy kolejny niezwykły krzyż. Okazało się, że przed wojną wisiał on na ścianie w znajdującej się w pobliżu polskiej szkole. Kiedy po wojnie w mieście zaczęli rządzić komuniści, krzyż wyrzucili na śmietnik. Znalazł go pan Zygmunt. To wydarzenie zapamiętała również jego siostra Irena, z którą również mieliśmy okazję się spotkać.

Rodzeństwo powiesiło krzyż na ścianie w swoim domu. Nazywali go „szczęśliwym krzyżem”. Jak mówili, uchronił ich dom przed pożarami i innymi tragediami. W trakcie tej rozmowy pani Irena opowiedziała także o tragicznych losach Żydów z Ejszyszek. Przed wojną mieszkało tu ich około 3 500. W czasie okupacji niemieckiej zostali zamknięci w miejscowym getcie, które we wrześniu 1941 roku zlikwidowano. Relacja pani Ireny była emocjonalna, a wspomnienia wciąż jeszcze wyraźne. Z łatwością podała nam nazwiska tych osób – swoich sąsiadów i koleżanek z miasteczka prowadzonych na rozstrzelanie, w tym matek z dziećmi na rękach.



Cmentarz w Ejszyszkach. Symboliczny grób por. Jana Borysewicza „Krysi”, dowódcy zgrupowań i oddziałów partyzanckich AK na Wileńszczyźnie

Krzyż „Krysi”

Wrócę ponownie do krzyża. Ten z domu państwa Olszewskich nie był ostatnim, z którym mieliśmy tego dnia do czynienia. Z kolejnymi spotkaliśmy się na cmentarzu w Ejszyszkach. W 2009 roku spoczęły tu szczątki trzech nieznanymi z imienia i nazwiska żołnierzy Armii Krajowej. Ich ciała oprawcy z NKWD w 1945 roku wrzucili wraz z niewypałami do nieczynnej studni. Kiedy kilka lat temu odnaleziono i ekshumowano ich zwłoki, Zygmunt Olszewski miał nadzieję, że jest wśród nich legendarny por. Jan Borysewicz „Krysi” – dowódca mojego towarzysza podróży z czasów Armii Krajowej. Borysewicz zginął w zasadzce zorganizowanej przez NKWD pod Kowalkami. Niestety, jego miejsce spoczynku pozostaje nadal nieznanie, a na lokalnym cmentarzu upamiętniono go symbolicznie.

Przywołane przeze mnie historie świadczą, że krzyż jest niezwykle ważnym symbolem dla mieszkańców Ejszyszek. Niestety, nie dla wszystkich. Kilka lat po naszej wizycie w Ejszyszkach z wielkim smutkiem zobaczyłem w mediach wiadomość, że w nocy z 22 na 23 października 2016 roku grupa wandalów ścierała piłą mechaniczną wielki krzyż stojący przy miejscowym kościele. Kilkanaście dni wcześniej, 9 października 2016 roku, inni sprawcy zbezczeszcili krzyż upamiętniający ofiary wojny i stalinowskich wywózek. Obaleli go farbą.

Z wielkim sentymentem wracam pamięcią do naszej wizyty w Ejszyszkach. Mam świadomość, że poznałem tylko niewielką część przebogatej historii związanej z tą miejscowością. Jestem przekonany, że muszę tu powrócić.

Waldemar Kowalski



Bartłomiej Garba (z lewej) i Waldemar Kowalski na cmentarzu w Ejszyszkach. W tle mogiły trzech ekshumowanych partyzantów i symboliczna – por. Jana Borysewicza „Krysi”. Zdjęcia ze zbiorów autora.

Waldemar Kowalski – psycholog, pasjonat historii, major służby więziennej w stanie spoczynku, kierownik działu dokumentacji filmowej w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, przewodniczący Rady Fundacji Pomorskich Kresowian.

Ars Proxima – Urbs Proxima

Większość naszych „historii” rodzi się w nas samych, w naszych wspomnieniach z przeszłości i marzeniach o przyszłości. Tak było i w tym wypadku, ale zacząć opowiadać od czegoś trzeba.

Ta historia rozpoczęła się jesienią 2005 roku w... trudno zdecydować czy to miasto było wtedy bardziej Kaliningradem – postsowiecką, zmilitaryzowaną, wysuniętą na zachód rosyjską enklawą nad Bałtykiem, czy Królewcem – Koenigsbergiem, z duchem mistrza Immanuela Kanta unoszącym się nad handlowymi tradycjami prusko-hanzeatyckiego portu i bursztynowych manufaktur w noworosyjskim wydaniu.

Potężne ceglane mury jednego z XIX-wiecznych fortów, otaczających obronnym pierścieniem miasto, zamienionego na „Muziej Jantaria”, czyli muzeum bursztynu, rozbrzmiewały różnojęzycznym gwarem rozmów uczestników uroczystego finału projektu „Alatyr 2005”. Zwiedzano wystawy, obradowało jury, odbywały się spotkania i wykłady. Właśnie zakończyłem swój wykład traktujący o współczesnej biżuterii artystycznej, kiedy podeszła do mnie, jakby z pewnym wahaniem szczupła, ubrana z lekką ekstrawagancją młoda osoba. Rzut oka na identyfikator wyjaśnił, że reprezentuje Akademię Sztuk Pięknych w Wilnie. – Jurgita Ludaviciene, przedstawiła mi się. Pisałam tyle razy, ale pan nigdy nam nie odpowiedział – odezwała się po rosyjsku. Jej głos, podobnie jak postawa zdradzał wahanie i rezerwę. Wyraziłem zdziwienie, mówiąc że nigdy nie dostałem ani od niej ani z jej uczelni żadnego

listu. Wkrótce okazało się, że sytuacji winien był po prostu od dawna nieaktualny adres poczty elektronicznej, który moja rozmówczyni od kogoś dostała. Przełamane zostały więc pierwsze lody nieufności.

Dowiedziałem się, że jest historykiem sztuki. W wileńskiej ASP, prowadzi galerię pod patronatem tejże akademii i jednocześnie jest redaktorem gazety „Literatura i sztuka”. Jakiś czas temu udało się jej – powiedziała to, ku mojemu kompletnemu zdziwieniu i zaskoczeniu – zdobyć ministerialną dotację na... prowadzone przeze mnie w Wilnie warsztaty artystyczne poświęcone współczesnej sztuce biżuterii. Uczestnikami mieli być studenci oraz młodzi absolwenci tamtejszej uczelni. – Zgodnie z przepisami przyznane środki z państwowej kasy muszą być albo wydane w tym roku, albo przepadną – powiedziała, patrząc na mnie pytająco. Czasu rzeczywiście do końca roku zostało niewiele, tej propozycji nie mogłem jednak odrzucić. Odpowiedziałem natychmiast bez najmniejszego wahania.

– Zdążymy, oświadczyłem i poczułem ogarniająca mnie falę ekscytacji. Nareszcie będę naprawdę w Wilnie – będę tam mieszkał i pracował. Moje dotychczasowe nieliczne i przelotne pobyty w tym mieście nie pozwoliły mi przekroczyć niewidzialnej, ale twardej jak tafla pancernego szkła bariery powierzchowności, dzielącej turystę od miejsc zwiedzanych.

Oszołomiony niezwykłą perspektywą, wykazując prawdopodobnie nieoczekiwany w tym momencie przez Litwinę entuzjazm, pytałem, wyjaśniałem, dążąc do jak najszybszego dokonania najważniejszych ustaleń.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem po długiej rozmowie podjęliśmy wspólną decyzję. Warsztaty – czy raczej artystyczne seminarium – zaplanowaliśmy na listopad. Mogłem przystąpić do opracowania szczegółów.

Sztuka Najbliższa

Czas po powrocie do domu upływał szybko wśród codziennej pracy, za to z głową zaprzątnięta myślami o seminarium. Przede wszystkim o tym, co mogę zaoferować uczestnikom. Myślałem o tym, że Litwa o piętnastokrotnie mniejszej niż Polska liczbie mieszkańców posiada na swojej jedynej akademii sztuk pięknych wydział biżuterii, podczas gdy Polska na żadnej ze swoich licznych uczelni artystycznych ciągle jeszcze się takiego wydziału nie dorobiła. Jednocześnie zdawałem sobie jednak sprawę, że historia ostatnich dziesięcioleci Litwy była historią republiki radzieckiej. Bezpośrednia przynależność Litwy do komunistycznego imperium wycisnęła głębokie piętno na wszystkich aspektach życia. Sowietyzacja otaczała – oczywiście, ze „szczególną troską” – nośniki identyfikacji narodu, a więc kulturę i sztukę. Izolacja od Zachodu była tu znacznie szczelniejsza niż w Polsce. W związku z tym odbudowa kontaktów i platform wymiany myśli wydała mi się sprawą istotną i prawdopodobnie najbardziej interesującą dla młodych litewskich artystów.

Tak narodził się pomysł zaproszenia do współpracy jeszcze jednej osoby z zagranicy. Po konsultacji z Jurgitą okazało się, że środków finansowych wystarczy, jeżeli oboje prowadzący nie będą mieli wygórowanych wymagań. Zaprosiłem więc z

radością Eevę Wornell z Finlandii, osobę blisko zaprzyjaźnioną, z którą łączy mnie duża zgodność poglądów. Wiedziałem, że wzbogaci ona projekt swoją osobowością, doświadczeniem dydaktycznym oraz bardzo indywidualną o głębokich konotacjach twórczością. Pozostał do opracowania leitmotiv seminarium - temat, czy też tytuł umożliwiający scalenie projektu, ale jednocześnie zapewniający uczestnikom dużą swobodę. Przyłapywałem się na tym, że brnę co rusz w jakąś ślepą uliczkę, próbując podobnie do współczesnych fizyków, wymyślić temat najbardziej uniwersalny, jakąś artystyczno-bizuteryjną teorię wszystkiego. W końcu udało mi się temat zwerbalizować oraz opatrzyć takim komentarzem:

Obserwujemy wciąż rosnącą liczbę mieszkańców globalnej wioski naszych czasów, odczuwających potrzebę wzmocnienia poczucia tożsamości oraz wyrażenia swojej indywidualności poprzez coś więcej niż numer telefonu komórkowego czy karty kredytowej albo adres e-mail. W ciągłym hałasie coraz bardziej agresywnych mediów, w tumulcie codziennej walki o przetrwanie, chwila refleksji może uratować resztki naszego człowieczeństwa. Bliski, bezpośredni i prywatny kontakt z dziełem sztuki może stać się szczególnie ważkim źródłem takiej refleksji. W ten sposób potrzeba posiadania własnego, prywatnego dzieła artystycznego, dzieła znajdującego się najbliżej zarówno naszego ciała, jak i umysłu, duszy stała się obecnie dla niektórych ludzi signum temporis. Jednocześnie artyści, poszukujący nowych przestrzeni twórczości, odkryli ziemię niczyją bizuterii. Tak narodziła się nowa dziedzina sztuki, dla której tu i teraz użyjemy nazwy „Ars Proxima – Sztuka Najbliższa”.

Dodałem do seminaryjnej glosy przytoczone na wstępie słowa Josepha Conrada Korzeniowskiego. Tak się składa, że słowa te wypowiedziane zostały w czasie, kiedy powstawały podwaliny nowoczesnej sztuki biżuterii. Najwybitniejsi twórcy, tacy jak Rene Lalique czy Wilhelm Lucas von Cranach, których biżuteria była powszechnie znana ze swojej niezwyklej indywidualności i dekoracyjności, także formułowali w swoich pracach, o czym się rzadziej mówi, wypowiedzi osadzone w kulturowym i społecznohistorycznym kontekście ówczesnej Europy.

Jestem pielgrzymem

Tak więc miałem gotowy tytuł – ideę i miałem wkrótce jechać do Wilna. To oznaczało dla mnie o wiele więcej i coś zupełnie innego niż zwykłą podróż. To była raczej pielgrzymka do miejsca przodków owianego legendą oraz niezliczoną ilością wspomnień i opowieści otaczających całą moją młodość i dzieciństwo. Moi bliscy – babcia, rodzice, ciotki, stryjowie, wujowie – i ich wszyscy wileńscy przyjaciele za tym miastem tęsknili, marząc o przywróceniu jego polskości po zakończeniu, jak zwykli mówić, „tymczasowej okupacji sowieckiej”. Mickiewiczowskie „Litwo, ojczyzno moja...” miało w naszej rodzinie znaczenie dosłowne. Zapamiętałem, a znacznie później naprawdę zrozumiałem słowa mojego wuja wspominającego na emigracji w Londynie przedwojenną Polskę:

„Kiedy przyjeżdżałeś do Warszawy, to jakbyś się szampana napił, ale kiedy przyjechałeś do Wilna, to chciałbyś tam zostać”.

Teraz po raz kolejny zdałem sobie sprawę, że ta świadomość wytworzona przez klimat dzieciństwa i poczucie tamtejszych, sięgających w odległą przeszłość chlubnych korzeni, powodują, że to miasto, praktycznie i realnie niepoznane, pozostaje miastem mojemu sercu najbliższym. Będę więc prowadzić seminarium Ars Proxima w moim Urbs Proxima.

W końcu wyruszyłem. Po całonocnej podróży autobusem z bardzo ciężkim plecakiem, bo oprócz zwykłego podróżnego ekwipunku zabrałem ze sobą katalogi, książki, nieco narzędzi, slajdy, przybory rysunkowe etc., stanąłem na wileńskiej ziemi i udałem się wprost do pracowni, w której przywitani mnie uczestnicy seminarium. Eeva przyjechała nieco wcześniej, a właściwie to ja się nieco spóźniłem... W związku z tym zastałem sytuację rozwijającą się już dość spontanicznie, wbrew moim bardziej uporządkowanym koncepcjom. Eeva, duch pogodny i niezależny, już zносиła jakieś lokalne znaleziska, radośnie proponując ich wykorzystanie. Początkowo trochę się obawiałem, że myśl przewodnia może w ten sposób ulec zagubieniu, ale już po chwili to wrażenie minęło, a ja, poczuwając się do obowiązków prowadzącego, postanowiłem zadbać od początku także o stronę praktyczno-organizacyjną.

Przede wszystkim w udostępnionej nam przez akademię pracowni panował nieznośny chłód. Nie pomagał ani elektryczny kaloryferek, wokół którego wszyscy zasiedli ciasnym kołem, ani niezliczone kubki gorącej herbaty. W takich warunkach nie było mowy o prawdziwej pracy. Po drugie, przy próbach ustalenia harmonogramu spotkań dowiedziałem się, że wszyscy uczestnicy mają swoje pracownie, a niektórzy także

niezbywalne obowiązki. W rezultacie doszliśmy do wniosku, że będziemy spotykać się na codziennych rozmowach i dyskusjach w miarę rozwoju pomysłów i ich realizacji, zamiast podejmować prawdopodobnie mało skuteczne próby pracy w akademickiej zimnicy. Okazało się jednocześnie, że przydzielony nam jako mieszkanie miejski lokal przy Jonas Basanavičius gatve, czyli niegdysiejszej ulicy Pohulanka, składający się z pokoju, kuchni i pracowni, jest ciepły i wystarczająco obszerny. Tam też w rezultacie odbywaliśmy wszystkie seminaryjne spotkania.

Uczestnikami byli młodzi artyści obojga płci, z wyraźną jednak przewagą płci pięknej. Jedni wyspecjalizowani w biżuterii, inni uprawiający tkaninę, grafikę, malarstwo. Wykładowców wydziału biżuterii wileńskiej akademii reprezentowała promieniująca pogodą ducha i delikatnością, a jednocześnie ciesząca się wielkim autorytetem – Laima Keriene. Tytuł seminarium okazał się – zgodnie z moimi intencjami – tematem bardzo otwartym i pobudzającym do twórczych dyskusji, a przygotowane przeze mnie i Eevę prezentacje na temat zachodnioeuropejskiej biżuterii artystycznej i jej autorów budziły wielkie zainteresowanie i pomagały w wymianie myśli. Atmosfera była naprawdę znakomita, a kontakty szczere i bliskie. Standardowe opowieści o litewskiej skrytości i lakoniczności nie miały w naszym wypadku żadnego zastosowania. Rozmawialiśmy wprost i zwyczajnie nie tylko o naszej pracy i filozofii, ale też o intymnych, indywidualnych mitologiach, które są zawsze ważnym źródłem twórczości, nawiązywaliśmy także te najzwyczajniejsze, ale najważniejsze – i jak się później okazało – trwałe przyjaźnie. Powstające prace

zapowiadały się interesująco. Okazało się, że wymiana doświadczeń zarówno intelektualnych, jak i warsztatowych daje rezultaty. Bardzo żałuję, że wystawa z powodu braków środków finansowych, nie doczekała się katalogu.

Chociaż nie było to żadną koniecznością, uznałem, że ważnym elementem zarówno dla mnie samego, jak dla uczestników, do których nabraliśmy w trakcie współpracy oboje z Eevą nie tylko sympatii, lecz także szacunku, będzie realizacja własnej pracy, związanej z miejscem i ideą projektu. Eevie też spodobał się ten pomysł. Tak dodaliśmy sobie obowiązków, ale miało to sens. Uczestnicy mogli nas obserwować przy pracy, co nas zbliżało i ułatwiało porozumienie, a jednocześnie realizowaliśmy własne projekty związane z tematem i miejscem własne obiekty. Było to dodatkową, pasjonującą przygodą.

Ślady Ostrej Bramy i Góry Zamkowej

Połączenie myśli o biżuterii jako o sztuce bliskiej ciału i duszy z myślami o związkach z miejscem, w moim przypadku szczególnie ważnymi, okazało się zadaniem niełatwym, ale bardzo inspirującym. Mój szkicownik prędko wypełniał się rysunkami i zapiskami. Czas jednak uciekał prędko, a ten jedyny, wymarzony pomysł ciągle pozostawał gdzieś w ukryciu.

Dopomógł wyjątkowy klimat spotkań. Zdecydowałem, że moja tutejsza praca będzie prosta, szczerą i bezpretensjonalną. Nie oglądając się więc na żadne artystyczne konwenanse skierowałem uwagę ku miejscom być może na pierwszy rzut oka nadmiernie spopularyzowanym, ale dla mnie naprawdę głęboko

kultowym i związanym z tradycją całych pokoleń. Postanowiłem wykorzystać w swojej pracy ślady Ostrej Bramy i Góry Zamkowej, zwanej też Górą Giedymina. Całą noc spędziłem na półsennych „marzenioprzemysłeniach”, a kiedy nadszedł świt, wiedziałem już co zrobić. Chciałem połączyć fragment fryzu z kaplicy i kamyk z „mojej” góry w formę tarczy ryngrafu. Z zapalem pobiegłem do Ostrej Bramy wybrać odpowiedni element. Jakieś półtora metra nad podłogą biegnie po wyłożonych drewnem i obwieszonych szczelnie niezliczonymi wotami ścianach, otaczając kaplicę, metalowy, repusowany, srebrzony fryz. Składa się on z ozdobnych medalionów, wykorzystujących bogatą ikonografię postaci Matki Boskiej, oraz fragmentów tekstu Litanii Loretańskiej. Mój wybór padł na prosty i piękny, promienisty wizerunek Madonny znajdujący się bezpośrednio obok obrazu, po jego prawej stronie.

Pozostawał problem, jak wykonać woskowy odcisk. Pierwsza myśl: uzyskanie zgody kompetentnego księdza czy innego gospodarza kaplicy okazała się w tak krótkim czasie nierealna. Doszedłem do wniosku, że nikogo nie będę się pytać, tylko przyjdę w czasie, kiedy kaplica jest pusta – najlepiej wcześniej rano, tuż po otwarciu. Dowiedziałem się, że otwierają o piątej rano, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że nikt mi nie przeszkodzi.

– Potrzebowałem teraz odpowiedniego wosku, który okazał się wcale nie tak łatwy do zdobycia jak myślałem. W sklepach i firmach jubilerskich mieli tylko typowe tak zwane woski odlewnicze, czyli woskopodobne masy, twarde i nienadające się do modelowania. Pozostawało

więc tylko samodzielne odpowiednie przygotowanie wosku pszczelego. Kiedy odnalazłem z pomocą litewskich przyjaciół sklep pszczelarski zmroził mnie napis na drzwiach, który po litewsku, ale zrozumiałe głosił: „Remontas”. Na szczęście niezrozumiały już dla mnie dopisek informował o tylnym wejściu z bramy. Królująca w wypełnionym po brzegi wszelkiego rodzaju pszczelimi specjałami maleńkim sklepiku korpulentna i pogodna sprzedawczyni odważyła odpowiednią ilość złocistego, pachnącego wosku, obliczyła należność na stojących na ladzie starych drewnianych liczydłach, następnie starannie przepisała wynik na klawiaturze małej kasy fiskalnej i podała mi wydrukowany paragon. Zapłaciłem i wróciłem do domu.

W kuchni stopiłem wosk w małym garnuszku i, eksperymentalnie dodając stopniowo niewielkie ilości oliwy, uzyskałem potrzebną konsystencję. Posługując się dalej przyborami kuchennymi, rozwałkowałem na desce odpowiedniej wielkości płytki i włożyłem je do foliowych torebeczek. Eeva, przygotowując herbatę dla zbierających się obok w pracowni uczestników, z ciekawością przyglądała się moim poczynaniom, sądząc początkowo że przygotowuję jakiś specjalny poczęstunek. Wpadłem też na pomysł, jak utrzymać wosk w odpowiedniej temperaturze, aby pozostał miękki zanim dotrę do kaplicy. Zapakowałem płytki do zawieszanej na szyi torebki – „paszportówki” i spokojnie odetchnąłem. Byłem gotowy do jutrzejszej operacji.

Akustyczny efekt „Ostrej Bramy”

Kiedy o czwartej nad ranem zadzwonił budzik, było jeszcze całkiem ciemno. W głowie ciągle czułem ślady wczorajszego, przedłużonego dobrze poza połowę nocy wieczornego spotkania, ożywionego dyskusjami przy kawie i smakowitej, ale bardzo mocnej litewskiej miodówce. Ten poranek był jednak wyjątkowo ważny i osłabiona soma nie zdominowała podeksycytowanej psyche. Wyskoczyłem z łóżka pod prysznic, łyknąłem w pośpiechu filiżankę kawy i, zawiesiwszy na piersi pod koszulą torebeczkę z cennymi płytkami wosku, wyruszyłem w powoli ustępujący mroźny mrok. Zszedłem szybko w dół Pohulanką, dalej Trocką, mijając kościół franciszkański i zaraz w prawo w Vokieciu, czyli w Niemiecką, wzdłuż wystaw zamkniętych o tej porze luksusowych sklepów do Ostrobramskiej. Rozgrzany dziarskim marszem dochodziłem do celu. Było tuż po piątej. W wielkich oknach nad ciemnym łukiem bramy zauważyłem światło – znak że kaplica jest już otwarta. Myśląc, jak tu najszybciej i najskuteczniej przeprowadzić akcję, zanim zjawią się pierwsi wierni, wbiegałem w ciemności po, wyżłobionych głęboko w ciągu długich lat przez kolana wspinających się dla uzyskania odpustu wiernych, drewnianych schodach, mijając ku pewnemu zaniepokojeniu dwie staruszki, które mimo tak wczesnej pory, kultywując tradycję, mozolnie wspinały się w górę na klęczkach. Wszedłem do kaplicy i przez chwilę wydało mi się, że cały mój drobiazgowo ułożony plan legnie w gruzach. We wnętrzu, które spodziewałem się zastać puste, zobaczyłem klęczące, ciemne postacie. Były to wyłącznie kobiety, wszystkie w chustach na głowach. Ujednolicone przez półmrok wydawały się stadem

wielkich czarnych ptaków albo zgromadzeniem członków jakiegoś tajemniczego zakonu. Z ukrytych w cieniu twarzy, pochylonych nad rytmicznie kołyszącymi się w rękach różańcami, dobywał się pulsujący szept modlitewnej mantry. Poczułem, że będzie mi jeszcze trudniej niż w dzień, kiedy kaplica jest może bardziej wypełniona, ale głównie przez mieszaninę wiernych i turystów. Czas jednak już nie pozwalał na zwłokę. Musiałem działać za wszelką cenę. Postanowiłem zachowywać się jak ktoś zajmujący się konserwacją zabytku i uprawniony do wszelkich czynności w tym miejscu.

– Przeszedłem na przeciwległą wejściu stronę, gdzie znajdował się wybrany do skopiowania wizerunek. Obok, jakby na zamówienie, stał przenośny pulpit mszalny. Na tym pulpicie ostentacyjnie rozłożyłem swój warsztat pracy – buteleczkę z oliwą, ściereczki, aparat fotograficzny oraz zbędny, ale uzupełniający aranżację mały szkiecownik i ołówki. Szybko i precyzyjnie przystąpiłem do działania. Aby uniknąć przyklejenia się woskowego modelu do metalu, przetarłem oliwą powierzchnię posrebrzanego medalionu, umocowanego do pokrywającej ściany ciemnobrązowej boazerii. Porozcierałem chwilę wychłodzone w drodze dłonie, by nie utwardzały wosku. Sięgnąłem w końcu za kołnierz koszuli i wy dobyłem zawieszoną na szyi czarną saszetkę. Trzymając ostrożnie złocistożółtą, pachnąca jeszcze miodem miękką płytkę, przyłożyłem ją delikatnie lewą ręką do powierzchni medalionu, a prawą, wyprostowaną dłonią, energicznie docisnąłem.

Teraz nastąpiło coś tak nieoczekiwanego, że przez całe moje ciało przeszedł dreszcz, który zapamiętałem

na zawsze. Zamarłem. Dopiero po dłuższej chwili, trwającej być może w obiektywnym czasie tylko jakiś ułamek sekundy, zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje. Cała kaplica odezwała się rozrywającym ciszę wczesnego poranka i majestatu miejsca potężnym dźwiękiem. To boazeria. Zapewne od dawna nietknięta i niosąca w sobie tysiące spowodowanych zmianami temperatury i wilgotności naprężeń wyzwoliła całą zgromadzoną w ten sposób energię i teraz brzmiała, jęczała, krzyczała potężnym głosem jak pudło rezonansowe olbrzymiego instrumentu, w którego wnętrzu znajdował się cudowny obraz: rozmodlone staruszki i ja, bezczelny profan, który ośmielił się wedrzeć w ten dostojny spokój ze swoim „drobnoartystycznym” pomysłem. Czułem, że najchętniej stałbym się w tej chwili niewidzialny.

Po chwili jednak przedziwna muzyka ucichła. Unosząc głowę, spojrzałem wzdłuż kaplicy. Ku memu zdziwieniu nikt na mnie nie patrzył, a modlące się postacie pozostały nieporuszone. Powoli uspokajałem się. Widziałem swoje ręce ciągle trzymające woskową płytkę i zorientowałem się, że prawdopodobnie trzeba by ją docisnąć raz jeszcze, żeby mieć pewność, że model będzie dokładny. Wstrzymałem oddech i docisnąłem. Boazeria zaskrzypiała, ale już niegłośno. Nie słyszałem teraz w tym dźwięku oburzenia czy potępienia profana, lecz przeciwnie, głos jakiś przychylny jakby i radosny. Ośmielony do reszty sporządziłem – już bez akustycznych efektów – jeszcze jeden woskowy odcisk, na wypadek gdyby odlew się nie udał. Wytarłem ściereczką ślady oliwy z medalionu, zrobiłem parę zdjęć i spokojnie spakowałem swoje akcesoria do torby.

Wychodząc, klękawszy podziękowałem Matce Boskiej za szczęśliwe zakończenie pełnej niespodziewanych emocji pracy.

Kiedy wyszedłem na ulicę, oświetlały ją już pierwsze promienie wschodzącego słońca, sypiąc iskry na złoceniach dachu kościoła Św. Kazimierza. Szybkim krokiem podążyłem ulicą Didžioji (Wielką), jak zawsze jednak zatrzymując się na chwilę przed domem Nr 22, nad którego bramą na białej, kamiennej tablicy widnieje napis „Z tego domu wyjechał w dniu 6. XI (25.X) 1824 roku zesłany do Rosji Adam Mickiewicz, opuszczając Wilno na zawsze”. Ta brama i słowa „na zawsze” budzą we mnie jakieś myśli o ostateczności, która spotyka nas czasem tak nieoczekiwanie i nieprzewidzianie.

Ocknąwszy się z zadumy, już bez zatrzymania skierowałem kroki w stronę Góry Zamkowej i wkrótce stanąłem u jej podnóża. W Wilnie od jakiegoś czasu było już zimno, ale bezśnieżnie. Minionej nocy na zmrożoną ziemię spadł deszcz. Góra mojego imiennika lśniła przepięknie w pochyłych promieniach porannego słońca, jak prawdziwa Szklana Góra z bajki, albowiem pokryta była przejrzystą jak szkło warstwą lodu. Wejście na szczyt po oblodzonych kamieniach stało się wręcz wyczynem. Ostrożne, powolne stąpanie przerywały co rusz efektowne piruety, kiedy poślizgnąwszy się, łapałem z trudem równowagę. W bardziej stromych miejscach musiałem przebyć krótkie odcinki na czworakach. Na szczycie, u stóp baszty udało mi się znaleźć kamyk, który doskonale pasował do mojej koncepcji. Niewielki, o lekko sercowatym kształcie, beżowy, przecięty ciemnoczerwona żyłką. Wydłubałem go z pomocą scyzoryka z zamarznętej ziemi, a kiedy

schodziłem w dół, okazało się, że słońce nadtopiło już warstewkę lodu i jakby symbolicznie, wszelkie trudności się skończyły.

Po powrocie do domu i zjedzeniu śniadania od razu przystąpiłem do pracy. Mój warsztat był bardzo prosty. Składały się nań: szwajcarski scyzoryk, igła, świeczka oraz palce. Możliwie prędko, ale starannie wymodelowałem formę ryngrafu wraz z oprawą kamienia, po czym zaniósłem woskowy model do firmy odlewniczej. Tymczasem większość uczestników dokonywała ostatnich pociągnięć przy wykańczaniu swoich prac i przygotowywaniu ekspozycji.

Odlew odebrany następnego dnia okazał się bardzo udany. Zakułem w przygotowaną oprawę mój kamyk i udaliśmy się z Eevą do typowo jubilerskiej pracowni jednego z uczestników, aby tam wykończyć swoje prace. Mój ryngraf z zewnątrz, w formie masywnej tarczy umiejscowionej od strony ciała noszącego, ukrywał wizerunek „Panny Świętej co jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci bramie” patrzącej jednak w przód i niematerialnej, bo na srebrze pozostał tylko negatyw – wklęsły ślad. Nad głową Matki Boskiej, wewnątrz promienistej aureoli umieściłem mały, połyskliwy brylancik. Tarczę zawiesiłem na grubym pęku przędzy z litewskiego lnu. Tak powstał przedmiot będący na wiele sposobów i znaczeń moją Ars Proxima.

Wystawa wieńcząca seminarium odbyła się w prowadzonej przez Jurgitę galerii Lietuvos Aido Galerija M – wspaniałym wnętrzu niezwykle starannie odrestaurowanej gotyckiej piwnicy. Zobaczywszy to miejsce, już snułem plany dalszej współpracy i wymiany wystawienniczej. Niestety, wkrótce okazało się, że

galeria przestała istnieć. Po wernisażowej imprezie i wielu długich pożegnaniach nastąpił ten moment dziwnej pustki, pozostającej po okresach wyętej pracy i wrażeń. Wiedziałem, że teraz będę musiał częściej wracać do Wilna, że jakaś częśćka mnie tam pozostaje jeszcze bardziej niż kiedyś. Kiedy zbierałem się do wyjazdu w mieszkaniu pozostało jeszcze kilka osób, bo Eeva wyjeżdżała dopiero następnego dnia rano. Ja miałem autobus późnym wieczorem. Kiedy zarzuciłem na ramiona plecak, podeszła do mnie Vita, jedna z uczestniczek seminarium, z którą odbyłem szczególnie dużo ciekawych rozmów. Zaproponowała, że mnie odprowadzi. Poczujęm się skrępowany taką propozycją. Jak to? Powiedziałem, nie uchodzi, żeby młoda dziewczyna w nocy starego chłopca odprowadzała. Ale kiedy wyjaśniła, że i tak tamtędy wraca do domu, z przyjemnością się zgodziłem. Opustoszałymi ulicami doszliśmy do dworca.

Do odjazdu autobusu zostało jeszcze trochę czasu. Nieoczekiwanie Vita gdzieś znikła. Po dłuższej chwili wróciła z jakiegoś nocnego sklepu i podała mi coś zawiniętego w papier. Była to mała buteleczka wódki Sobieski z pływającymi wewnątrz dwiema czerwonymi jagodami borówki. – To na drogę – powiedziała ze swoim charakterystycznym tajemniczym, nieco nieobecny uśmiechem. Wsiadłem do autobusu. Rano byłem już w Gdańsku.

Utrzymuję do dziś kontakty z Vitą, Laimą i kilkoma innymi uczestnikami tamtego spotkania. Buteleczkę także mam do dziś, ale nigdy nie dowiedziałem się, czy była tak po prostu do wypicia na sen w nocnym autobusie, czy bardziej symboliczna - proxima.



Ryngraf „Moje Wilno”. Giedymin Jabłoński

„Ars proxima - Urbs proxima”. (łac. Sztuka Najbliższa - Miasto Najbliższe) pochodzi z niepublikowanego zbioru „Dwanaście opowiadań o biżuterii” Giedymina Jabłońskiego z 2021 roku. Druk za zgodą autora. Opracowanie redakcyjne zespół Roczника.

Giedymin Jabłoński herbu Jasińczyk urodzony w roku 1946 w Gdańsku, w rodzinie pochodzącej z Wileńszczyzny (majątek Ostrów nad jeziorem Narocz) – artysta, kurator, krytyk i teoretyk sztuki, nauczyciel akademicki, członek założyciel Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników. Jego główną specjalnością jest szeroko rozumiana biżuteria artystyczna, ale wypowiada się także w innych mediach, takich jak instalacja, rzeźba, fotografia, etc.

2024 rok. Jubileusz Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej

35 lat pomorskich Wilniuków

Jesienią 1988 roku w Toruniu podjęto starania o założenie organizacji skupiającej wygnańców z Wileńszczyzny. 17 listopada tego samego roku zostało zarejestrowane Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. Była to druga, po Towarzystwie Miłośników Lwowa, legalnie działająca w Polsce organizacja kresowa.

Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej powstało z inicjatywy Wiesława Żurowskiego, pracownika przedsiębiorstwa „Elana” i przewodnika miejskiego. W trakcie pierwszych spotkań ustalono, że w kręgu zainteresowań stowarzyszenia znajdzie się cały obszar dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Na wieść o powstaniu organizacji w kilkunastu miastach rozpoczęto prace nad utworzeniem oddziałów terenowych. Najszybciej zareagowali wilnianie z Trójmiasta.

Oddział Gdański i koła terenowe

4 stycznia 1989 roku w Domu Technika w Gdańsku odbyło się zgromadzenie założycielskie Oddziału Gdańskiego TMWiZW. Wzięło w nim udział ponad 300 osób. W skład pierwszego zarządu weszli: Ryszard Śnieżko (prezes), prof. Edward Borowski (I wiceprezes), dr Janusz Ciemnołoński (II wiceprezes), Janina Jankowska (sekretarz), dr Barbara Adamowicz-Klepalska (skarbnik) i Henryk Sobolewski (członek). Do komisji rewizyjnej zostali wybrani: Jerzy Kotkowski (przewodniczący), prof.

Franciszek Milkiewicz i Tadeusz Rancew (członkowie). W marcu 1989 roku Ryszard Śnieżko ustąpił ze stanowiska prezesa, a jego miejsce zajął prof. Edward Borowski, który kierował oddziałem 22 lata. W 2011 r. prezesem została Bożena Kisiel.

Pierwsze zebrania zarządu odbywały się w pomieszczeniu Katedry Kryminalistyki Uniwersytetu Gdańskiego w Katowni. Na początku marca 1989 roku Towarzystwo otrzymało siedzibę przy ul. Marii Curie-Skłodowskiej w Sopocie. W październiku 2003 roku siedziba oddziału została przeniesiona do lokalu przy ul. Jana Jerzego Haffnera w Sopocie. Od grudnia 2010 roku mieści się przy ulicy 3 Maja w Sopocie. W 2008 r. Oddział Gdański przekształcił się w Oddział Pomorski TMWiZW i uzyskał osobowość prawną.

Oddział Gdański TMWiZW posiadał pięć kół terenowych. W 1989 roku powstały Koła TMWiZW w Wejherowie (prezes – Czesław Tamkun) oraz w Przedsiębiorstwie Przeróbki i Spedycji Kopalni Chemicznych „Siarkopol” w Gdańsku (prezes – Mirosław Kugauto). W 1993 roku kolejne koło zostało zorganizowane na Akademii Medycznej w Gdańsku. W 1996 roku utworzone zostało Koło TMWiZW w Sierakowicach (prezes – Maria Kolka). Ostatnie Koło TMWiZW powstało w 1999 roku w Rumi, a na jego czele stanął Zbigniew Samotyj-Leńczewski. Skąpa dokumentacja nie pozwala niestety na ustalenie ani dokładnego okresu działalności tych kół, ani kolejnych zmian organizacyjnych, jakie w nich zachodziły.

Rodakom na Ziemi Wileńskiej

Działalność stowarzyszenia prowadzono dwutorowo: aktywność zewnętrzna koncentrowała się na utrzymaniu kontaktów z Polakami mieszkającymi za naszą wschodnią granicą, z kolei adresatami działalności wewnętrznej byli członkowie organizacji oraz inni miłośnicy historii i kultury Wileńszczyzny. W pierwszych latach swojego istnienia Oddział Gdański TMWiZW duży nacisk kładł przede wszystkim na wsparcie materialne polskich szkół, domów dziecka, organizacji, instytucji kulturalnych w Wilnie i na Ziemi Wileńskiej. Rodakom na Litwie wysyłano wiele paczek z żywnością, lekarstwami, odzieżą i książkami. Przez kilka lat Oddział również organizował i finansował pobyt w Trójmieście uczniów i wychowawców ze szkoły w Rukojniach w rejonie wileńskim. Pierwsza wizyta dzieci miała miejsce już latem 1989 roku.

W 1991 roku Oddział Gdański TMWiZW aktywnie włączył się natomiast w niesienie pomocy nowo powstałemu Uniwersytetowi Polskiemu w Wilnie, który funkcjonował wówczas w strukturach Stowarzyszenia Naukowców Polaków Litwy. Ówczesny prezes Oddziału, prof. Edward Borowski doprowadził do utworzenia Fundacji im. Jędrzeja Śniadeckiego działającej na rzecz wsparcia Uniwersytetu Polskiego w Wilnie, a w jej skład weszli rektorzy trójmiejskich uczelni. Dzięki staraniom prof. Borowskiego wielokrotnie udawało się namówić władze szkół wyższych z Trójmiasta, by udzieliły pomocy materialnej Uniwersytetowi Polskiemu w Wilnie. Oddział Gdański systematycznie organizował też zbiórki publiczne nie tylko na terenie Trójmiasta, ale również w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. W 1998 roku Uniwersytet Polski w Wilnie uzyskał osobowość prawną i został

zarejestrowany pod nazwą Universitas Studiorum Polona Vilnensis. W tym też czasie założono nową fundację, której celem było wspieranie tej polskiej uczelni. W jej skład weszli, m.in. członkowie Oddziału Gdańskiego TMWiZW: Józef Szyłejko, Zbigniew Samborski, Zbigniew Gryszkiewicz i Kazimierz Wojczys.

W drugiej połowie lat 90. XX wieku działania na rzecz polskiej społeczności na Wileńszczyźnie podjęły Koła TMWiZW w Sierakowicach i w Rumi. Koło w Sierakowicach wspierało rodaków, mieszkańców gminy Podbrzezie w rejonie wileńskim, a Koło w Rumi mieszkańców gminy Podbrodzie w rejonie święciańskim. W ramach tej pomocy polskie szkoły w Podbrzeziu i Podbrodziu otrzymały sprzęt komputerowy i książki, a miejscowe dzieci przyjeżdżały na wypoczynek do Sierakowic i Rumi. Koło TMWiZW w Rumi sfinansowało także szkolenie z obsługi internetu dla 16 nauczycieli informatyki ze szkół w rejonie święciańskim. Członkowie Koła gościli u siebie przedstawicieli rejonu święciańskiego wchodzących w skład oficjalnych delegacji składających wizyty w Rumi. Należy również podkreślić fakt, że członkowie Koła w Rumi brali udział w przygotowaniach do podpisania porozumienia o współpracy pomiędzy gminą Rumia, a rejonem święciańskim w październiku 1999 roku.

Wspieranie Polaków na Litwie nie ograniczało się jednak wyłącznie do udzielania pomocy materialnej. Bardzo ważne było organizowanie szkoleń, kursów i innych form dokształcania, dzięki którym nasi rodacy mogli nabyć nowych umiejętności czy zapoznać się z aktualnym stanem wiedzy z różnych dziedzin. Zaczęto się od szkolenia nauczycieli z polskich szkół na Wileńszczyźnie. Oddział Gdański TMWiZW zawarł porozumienie o współpracy z

Centrum Edukacji Nauczycieli w Gdańsku i Stowarzyszeniem Nauczycieli Szkół Polskich na Litwie „Macierz Szkolna” mające na celu realizację programu doskonalenia nauczycieli ze szkół polskich na Wileńszczyźnie. Efektem tego porozumienia są organizowane już od 30 lat przez CEN we współpracy z Towarzystwem szkolenia i warsztaty metodyczne. Koordynatorem szkoleń przez prawie 20 lat była Bogumiła Zagłoba – pracownik CEN w Gdańsku i jednocześnie członek Zarządu Oddziału Gdańskiego TMWiZW. Obecnie funkcję tę pełni Marzena Kozłowska z CEN, również należąca do stowarzyszenia.

Towarzystwo w ramach pomocy przygotowało także ofertę skierowaną do młodych rolników i działaczy organizacji pozarządowych na Wileńszczyźnie. Pomysłodawcą i organizatorem tej akcji był członek Zarządu Oddziału Gdańskiego, Janusz Zasławski. W 1994 roku nawiązał on kontakt z Wileńską Wyższą Szkołą Rolniczą w Białej Wace koło Wilna i namówił władze wileńskiej uczelni, aby umożliwiły niektórym studentom odbyć praktyki wakacyjne w gospodarstwach rolnych na terenie województwa gdańskiego. Przez następnych kilka lat praktyki rolnicze organizowano na terenie gminy Pruszcz Gdański i gminy Sierakowice. Brali w nich udział nie tylko studenci i absolwenci szkoły rolniczej w Białej Wace, ale też właściciele gospodarstw rolnych z rejonu wileńskiego.

Inicjatorem kolejnych przedsięwzięć Oddziału Gdańskiego TMWiZW na rzecz naszych rodaków na Litwie również był Janusz Zasławski. W 1998 roku zaangażował się w organizację szkoleń z prowadzenia działalności agroturystycznej, w których uczestniczyli właściciele

gospodarstw rolnych z gminy Suderwa w rejonie wileńskim. Szkolenia prowadzili specjaliści z Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Gdańsku. W tym samym roku Janusz Zasławski we współpracy z Regionalnym Centrum Informacji i Wspomagania Organizacji Pozarządowych w Gdańsku realizował także program pod nazwą „Lokalni animatorzy ruchu organizacji pozarządowych na Litwie i Białorusi”. Celem projektu była pomoc w zdobywaniu wiedzy na temat podstaw działalności organizacji pozarządowych i przeszkolenie liderów tych organizacji.

W latach 1999–2005 Janusz Zasławski realizował dwa projekty edukacyjne „Lider-Sternik” i „Młodzież znad Bałtyku”. Ich wspólnym założeniem było, m.in. podniesienie poziomu wiedzy merytorycznej i poszerzenie zakresu umiejętności praktycznych działaczy polskich organizacji pozarządowych na Wileńszczyźnie przy wykorzystaniu walorów żeglarstwa morskiego. W obu projektach młodzież z Wileńszczyzny i z województwa pomorskiego uczestniczyła w szkoleniach, np. z zakresu psychologii, działalności organizacji pozarządowych czy wyszkolenia morskiego. Następnie młodzież odbywała rejsy po Zatoce Gdańskiej i Zalewie Wiślanym, ucząc się współpracy w zespole w trudnych warunkach rejsu żeglarskiego, czy też radzenia sobie w konfliktowych sytuacjach.



Kaziuk w Gdyni, 9 marca 2008 roku ...



... i w Gdańsku, 7 marca 2010 roku

Nie tylko Kaziuk

Działalność stowarzyszenia skierowana do mieszkańców Trójmiasta o korzeniach wileńskich, ma na celu rozwijanie oraz popularyzowanie wiedzy o przeszłości i współczesności Wileńszczyzny, a także integrowanie środowiska wileńskiego. Corocznie na przełomie lutego i marca Oddział Pomorski TMWiZW przygotowuje uroczystości kaziukowe w Gdańsku i Gdyni. Wydarzenie nawiązuje do tradycji przedwojennych jarmarków kaziukowych, organizowanych w Wilnie w dzień św. Kazimierza i tę tradycję ma podtrzymać w Trójmieście. Pierwszy Kaziuk został zorganizowany w Gdańsku już 4 marca 1989 roku. Przez wiele lat mini jarmark kaziukowy poprzedzała uroczysta msza święta w intencji wilnian. Po jej zakończeniu sprzedawano wileńskie specjały: chleb, wędliny, sękacze, kwas chlebowy, serca piernikowe i oczywiście palmy z Wileńszczyzny oraz książki o tematyce wileńskiej. W latach 1989-2018 gdański Kaziuk odbywał się na terenie Bazyliki Mariackiej. Msza święta była celebrowana przez ks. arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego, Metropolitę Gdańskiego oraz kolejnych proboszczów Bazyliki Mariackiej: ks. infułata Stanisława Bogdanowicza, ks. prałata Zbigniewa Zielińskiego i ks. prałata Ireneusza Bradtke. W 2019 roku uroczystości kaziukowe zostały przeniesione do Kościoła Franciszkanów pw. Świętej Trójcy, a mszę świętą celebrował o. Tomasz Jank, rektor Kościoła i gwardian Klasztoru Franciszkanów.

10 marca 1996 r., z inicjatywy ówczesnego skarbnika Zarządu, Zbigniewa Samborskiego, odbył się pierwszy Kaziuk w Gdyni. Uroczysta msza święta w Kościele pw. Najświętszej Maryi Panny była celebrowana początkowo przez proboszcza ks. prałata Edmunda

Wierzbowskiego, a w kolejnych latach przez jego następcę ks. prałata Edmunda Skalskiego. Na placu przed kościołem odbywał się mini jarmark kaziukowy. Na przełomie XX i XXI wieku gdyńskiego Kaziuka uświetniały się również wystawy palm wileńskich i ekspozycje fotograficzne poświęcone architekturze Wilna. Organizowano je w Domu Parafialnym przy wspomnianym kościele oraz w Gdyńskim Centrum Organizacji Pozarządowych. Kilkukrotnie przygotowano sympozjum na temat życia i działalności św. Kazimierza oraz rozwoju tradycji jarmarku kaziukowego na Wileńszczyźnie. Po śmierci Zbigniewa Samborskiego w 2014 roku, organizację Kaziuka w Gdyni przejął prezes Zarządu Głównego TMWiZW – Józef Szyłjko.

Od 1990 r. członkowie stowarzyszenia biorą udział w spotkaniach opłatkowych, które swoją obecnością zaszczycali ks. Arcybiskup Tadeusz Gołowski, ks. Stanisław Bogdanowicz i o. Tomasz Jank. Wydarzenie uatrakcyjniały występy pomorskich chórów i zespołów dziecięcych śpiewających kolędy, pieśni religijne i patriotyczne.

Spotkania i kino wileńskie

Kilkanaście lat temu Oddział Pomorski TMWiZW zaczął organizować comiesięczne spotkania tematyczne. Sprzyjały one nawiązywaniu i utrwalaniu kontaktów między członkami i sympatykami Towarzystwa. W 2009 roku prezes Bożena Kisiel zaczęła przygotowywać Wileńskie Spotkania, których gośćmi były ciekawe osoby opowiadające o historii i współczesności Wilna, jak również Gdańska. Podczas spotkań prezentowano zdjęcia wykonane w Wilnie, czasem też urządzano promocje książek. W 2016 roku Bożena Kisiel podczas Wileńskich Spotkań

zainicjowała nowy cykl pt. „Nasze losy i przesłania”. Członkowie Towarzystwa przedstawiali wówczas historię swojej rodziny i własne dokonania.



**Józef Wierzba na spotkaniu z cyklu „Kino Wileńskie”
18 października 2012 roku**

W latach 2011–2022 wiceprezes Przemysław Namsołek organizował spotkania z cyklu „Kino Wileńskie”, podczas których wyświetlano filmy dokumentalne oraz reportaże poświęcone historii i kulturze Wileńszczyzny. Prezentowane materiały przybliżyły także sylwetki ważnych osób związanych z Wilnem i Ziemią Wileńską: pisarzy, malarzy, żołnierzy, duchowieństwo, działaczy społecznych. Corocznie, w ramach „Kina Wileńskiego”, pokazywano filmy Józefa Wierzby z Kielc, byłego dziennikarza Oddziału Telewizji Polskiej w Białymstoku,

autora kilkuset programów i filmów dokumentalnych o historii dawnych Kresów Wschodnich i o losach Polaków tam żyjących. Goszczący na tych spotkaniach Józef Wierzba opowiadał o swoich dziennikarskich wyprawach do krajów nadbałtyckich, na Białoruś i na Ukrainę.

Od 2015 roku Przemysław Namsółek popularyzuje historię i kulturę Wileńszczyzny we współpracy z Parafialnym Oddziałem Akcji Katolickiej im. bł. ks. Bronisława Komorowskiego przy parafii św. Stanisława Biskupa Męczennika w Gdańsku-Wrzeszczu. W ramach tej współpracy Przemysław Namsółek wygłasza dla członków i sympatyków Akcji Katolickiej prelekcje i odczyty na tematy związane z historią Wileńszczyzny, wyświetla filmy dokumentalne i prezentuje przedwojenne pamiątki wileńskie pochodzące z jego prywatnych zbiorów.

Współpraca z Uniwersytetem Gdańskim

W latach 2015-2018 Oddział Pomorski TMWiZW zrealizował trzy projekty we współpracy z Uniwersytetem Gdańskim. Pierwszym z nich była konferencja. 22 maja 2015 roku stowarzyszenie razem ze Studenckim Kołem Naukowym Etnologów UG zorganizowało konferencję pt. „Polacy z Wileńszczyzny – dawna i dzisiejsza ojczyzna”. Zaprezentowano referaty dotyczące historii, etnografii i języka Polaków z Wileńszczyzny.

Następnie, w dniach 18-19 maja 2016 r. Oddział Pomorski TMWiZW wspólnie z Wydziałem Historycznym UG i Naukowym Kołem Historyków UG zorganizował cykl wydarzeń pod nazwą „Przenikanie się kultur – Polska, Litwa”. Składał się z trzech wydarzeń. W Bibliotece Głównej UG odbył się „Wieczór poezji polskiej i litewskiej” z udziałem poetów z Gdańska i Wilna. Na Wydziale

Historycznym UG zaprezentowano wystawę zdjęć „Wilno z lotu ptaka” autorstwa litewskiego fotografa, Sauliusa Paukštysa. Zorganizowano również konferencję naukową o tematyce wileńskiej. Za przygotowanie projektu i koordynację prac zespołu realizatorów była odpowiedzialna prezes stowarzyszenia, Bożena Kisiel.

Trzecie wydarzenie, to realizowany od kwietnia do czerwca 2018 roku przez Oddział Pomorski TMWiZW we współpracy z Wydziałem Historycznym UG i Studenckim Kołem Naukowym Etnologów UG projekt pod nazwą „Przenikanie się kultur: Polska, Białoruś, Ukraina, Litwa”. W ramach tej inicjatywy, 5 czerwca 2018 roku na Wydziale Historycznym UG, odbyła się konferencja naukowa. Zorganizowano także warsztaty dotyczące haftu ukraińskiego, wicia palm wileńskich, pisania ikon i plecenia łapci poleskich. Koordynatorem projektu ze strony stowarzyszenia ponownie była prezes Bożena Kisiel.

Podczas wspomnianych wyżej konferencji dominowała tematyka historyczna. Innym zagadnieniem zostało poświęcone sympozjum naukowe pt. „Przyszłość współpracy społeczeństw Polski i Litwy”, organizowane od 1996 roku przez członków Zarządu Oddziału Gdańskiego TMWiZW Zbigniewa Samborskiego i Zdzisława Samborskiego. Celem sympozjum, odbywającego się przez prawie 10 lat, było pokazywanie przykładów współczesnej współpracy polsko-litewskiej oraz nawiązywanie bezpośrednich kontaktów pomiędzy organizacjami polskimi i litewskimi. Tematyka wygłaszanych referatów dotyczyła kooperacji w różnych dziedzinach: kulturze, edukacji, nauce, gospodarce, lokalnej polityce (samorządy) ekologii i turystyce.

Festiwal „Wilno w Gdańsku”

Oddział Pomorski TMWiZW wielokrotnie zaznaczał swoją obecność podczas, organizowanego przez władze Gdańska Festiwalu „Wilno w Gdańsku. Inicjatorem i koordynatorem projektów zrealizowanych podczas festiwalu była prezes Oddziału Pomorskiego, Bożena Kisiel. Szczególnie warto wspomnieć o przedsięwzięciach Towarzystwa w 2013 roku i w 2016 roku.

We wrześniu 2013 roku w ramach wspomnianego festiwalu Oddział Pomorski TMWiZW i Centrum Sztuki Współczesnej „Łaźnia” w Gdańsku zaprezentowały instalację „Pokój wileński” oraz przygotowały warsztaty kulinarne poświęcone kuchni wileńskiej. Innym projektem zrealizowanym w 2013 r. był spektakl multimedialny pt. „Nowe legendy gdańskie”, który powstał we współpracy stowarzyszenia z Centrum Sztuki Współczesnej „Łaźnia” oraz z II Podstawowo-Gimnazjalnym Zespołem Szkół Społecznych STO w Gdańsku. Do udziału w projekcie zaproszono artystów polskich i litewskich. Spektakl pokazano podczas Festiwalu „Wilno w Gdańsku”, a następnie w trakcie Dni Kultury Gdańska w Wilnie.

8 września 2016 roku, w ramach Festiwalu „Wilno w Gdańsku” odbyła się impreza pod nazwą „Wileńskie Posiaduszki w Jelitkowie”, zorganizowana przez Oddział Pomorski TMWiZW we współpracy z restauracją „Chilli Willy”. W Gdańsku-Jelitkowie uczestnicy wydarzenia mogli przyłączyć się do wspólnych tańców wileńskich, wspólnego śpiewanie piosenek będących codziennym elementem kultury wileńskiej, wysłuchania gwary wileńskiej oraz zjeść potrawy wileńskie. Każdy uczestnik spotkania otrzymał pamiątkową broszurę pt. „Wileńskie Posiaduszki w Jelitkowie”, wydaną przez Towarzystwo. W publikacji

zawarto: opis tradycji i dawnych zwyczajów, omówienie zabaw na wsi i w dworach, teksty piosenek wspólnie śpiewanych na posiaduszkach, opis prezentowanych tańców oraz charakterystycznych wileńskich instrumentów.

W ostatnich kilkunastu latach Zarząd Oddziału Pomorskiego TMWiZW upamiętniał mieszkańców Trójmiasta o kresowym rodowodzie. W 2007 roku stowarzyszenie we współpracy z Centrum Edukacji Nauczycieli w Gdańsku realizowało projekt edukacyjny „Wybitni gdańszczanie rodem z Wileńszczyzny. Portret zbiorowy”, w którym wzięli udział uczniowie z gdańskich szkół. Zadaniem młodzieży było przeprowadzenie wywiadów z zasłużonymi mieszkańcami Gdańska o wileńskich korzeniach i przygotowanie pracy pisemnej. Zapisy rozmów zebrano w książce pt. „Wybitni gdańszczanie rodem z Wileńszczyzny. Portret zbiorowy”, wydanej przez Towarzystwo w 2008 roku. Koordynatorami projektu ze strony Zarządu Oddziału były Anna Krajnowska i Bogumiła Zagłoba.



Prezentacja wystawy „Z Wilna do Gdańska” w hospicjum w Gdańsku 18 maja 2012 roku

8 września 2011 r. w ramach imprezy „Wilno w Oliwie”, zorganizowanej przez Oddział Pomorski TMWiZW we współpracy ze Stowarzyszeniem Stara Oliwa, zaprezentowana została wystawa pt. „Z Wilna do Gdańska”. Na ekspozycji pokazano losy 11 osób przybyłych po II wojnie światowej z Kresów Wschodnich do Gdańska. Wystawa, której autorkami były prezes Oddziału Bożena Kisiel i wolontariuszka Vilija Tulickaite, została przygotowana w oparciu o wywiady przeprowadzone w czasie realizacji projektu „Drogi do Gdańska - exodus XX wieku”. Wystawę można było później obejrzeć w wielu miejscach w Trójmieście i w Wilnie.

Kolejnym osiągnięciem Towarzystwa, mającym na celu upamiętnienie mieszkańców Trójmiasta pochodzących

z Kresów Wschodnich jest tworzenie Cyfrowego Archiwum Pomorskich Kresowiaków, którego twórcami są Bożena Kisiel i Vilija Tulickaite. Inauguracja Archiwum nastąpiła w grudniu 2013 roku i od tego czasu jest ono dostępne w Internecie (www.capk.pl). W CAPK znalazły się teksty wywiadów przeprowadzonych przez młodzież z gdańskich szkół z mieszkańcami Trójmiasta pochodzącymi z Kresów Wschodnich oraz skany dokumentów i zdjęć rodzinnych.



Uroczystość odsłonięcia obelisku 5 września 2015 roku w Gdańsku

Z inicjatywy prezes Oddziału Pomorskiego TMWiZW Bożeny Kisiel, Rada Miasta Gdańska ogłosiła rok 2015 „Rokiem Pamięci o tych, którzy przybyli do Gdańska z dawnych Kresów Wschodnich Polski”. 5 września 2015 roku w pobliżu Bastionu Żubr na Dolnym Mieście w Gdańsku odbyło się uroczyste odsłonięcie obelisku

upamiętniającego przybycie do Gdańska Kresowian ekspatriowanych ze swoich stron ojczystych. Do powstania obelisku przyczyniła się prezes TMWiZW.

12 stycznia 2017 roku w Domu Uphagena w Gdańsku miał miejsce wernisaż wystawy pt. „Na Gdańsk zdecydowałem się od razu... Sylwetki gdańskich Kresowian”, która została przygotowana przez Muzeum Historyczne Miasta Gdańska we współpracy z Oddziałem Pomorskim TMWiZW. W organizację przedsięwzięcia zaangażowała się prezes Bożena Kisiel. Na wystawie zaprezentowano sylwetki 14 zasłużonych dla Gdańska osób, które urodziły się lub mieszkały na przedwojennych Kresach Wschodnich, głównie w Wilnie i we Lwowie. Oprócz fotografii rodzinnych, na wystawie pokazano różne dokumenty i pamiątki należące do tych osób.

W dniach 7–8 września 2018 roku Oddział Pomorski TMWiZW we współpracy z władzami Gdańska, Politechniką Gdańską, Chorągwią Gdańską Związku Harcerstwa Polskiego, Związkiem Szlachty Polskiej i Muzeum Narodowym w Gdańsku zorganizował szereg imprez w ramach projektu „Gdańszczanie z Wilna”. Wydarzenia uświetniły 20. rocznicę podpisania umowy o współpracy Gdańska i Wilna. Inicjatorem i koordynatorem projektu była prezes Bożena Kisiel. Wśród szeregu odbywających się wówczas wydarzeń należy przywołać ognisko harcerskie, konferencję pt. „Wilnianie dla Gdańska” oraz wystawy i prezentacje.

14 września 2023 roku, z inicjatywy prezes Bożeny Kisiel, na ścianie zabytkowego Domu Schumannów przy ul. Długiej 45 w Gdańsku odsłonięta została tablica upamiętniająca architekta prof. Jana Borowskiego. Był on pracownikiem naukowym Uniwersytetu Stefana Batorego

w Wilnie i Politechniki Gdańskiej, pierwszym wojewódzkim konserwatorem zabytków w Gdańsku. Po 1945 roku przyczynił się do odbudowy wielu gdańskich zabytków.

W tak krótkim artykule niemożliwe było omówienie wszystkich działań Oddziału Gdańskiego/Pomorskiego TMWiZW. Pomimo stale zmniejszającej się liczby członków Towarzystwo co roku może pochwalić się kolejnymi znaczącymi osiągnięciami. Są one efektem ogromnego wysiłku grupy zapaleńców, pracujących społecznie i poświęcających swój wolny czas, a często także własne środki finansowe.

Przemysław Namsółek

Przemysław Namsółek jest wiceprezesem Oddziału Pomorskiego Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz członkiem Zarządu Głównego TMWiZW. Z wykształcenia historyk. Pracuje w Oddziałowym Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Gdańsku.

Kalendarium

25 stycznia 2023 roku. 13. Kresowa Środa Literacka. Spotkanie autorskie z Janem Skłodowskim, autorem książki „Druskieniki. Kurort przedwojennej Polski”, Wydawnictwo „Księży Młyn”, Łódź.
Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

22 lutego 2023 roku. 14. Kresowa Środa Literacka. Promocja książki Leszka Bednarczuka i Moniki Tomkiewicz „Od Naroczy do Niemna. Relacje partyzantów „Kmicica”, „Łupaszki”, „Ronina” Armii Krajowej na Wileńszczyźnie marzec 1943-lipiec 1944”. Wydawcy: Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Zarząd Główny oraz Oficyna Wydawnicza Kucharski. Prelegenci: Monika Tomkiewicz, Józef Szyłejko, TMWiZW.
Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

27 lutego 2023 roku. Z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych odbył się pokaz filmu „Żelazny chłopiec” (historia życia ppor. Zdzisława Badochy, ps. „Żelazny”, żołnierza V Wileńskiej Brygady AK), spotkanie z reżyserem, Andrzejem Ciecierskim, TVP3 Gdańsk.
Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

29 marca 2023 roku. 15. Kresowa Środa Literacka. „Świętojerską, Mickiewicza, Giedymina. Wiosenny spacer po Wilnie” - prezentacja Tomasza Kuby Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią w Warszawie.
Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

26 kwietnia 2023 roku. 16. Kresowa Środa Literacka. Promocja książki Jerzego Gajdzińskiego „Golgota narodów.

Opowieść o życiu w łagrach i ucieczce z Workuty”. Prelegent Marek Gajdziński. Wydawca: Fundacja Jakobstaf, Warszawa.

Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

31 maja 2023 roku. 17. Kresowa Środa Literacka. „Kresowiana w Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim”. Prelekcja dr Dobromiły Rzyskiej-Laube.

Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

28 czerwca 2023 roku. 18. Kresowa Środa Literacka. „Wielkość i dramat polskich Kresów”. Prelekcja Stanisława Srokowskiego, poety, pisarza w 80. rocznicę apogeum ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Klub Marynarki Wojennej w Gdyni oraz Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

8 lipca 2023 roku. „Litania Wołyńska”. Koncert w ramach obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Wołyniu w 80. rocznicę „Krwawej Niedzieli”. Kompozycja i prowadzenie – prof. Krzesimir Dębski oraz Orkiestra Kameralna Progress i Chór 441Hz.

Organizatorzy: Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, Fundacja Pomorskich Kresowian.

Bazylika pw. św. Brygidy w Gdańsku.

27 września 2022 roku. 19. Kresowa Środa Literacka. „Kresowe poetessy”. Kresy Południowo

-Wschodnie w twórczości poetek XX wieku” - prezentacja Tomasza K. Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią.

Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

17 października 2023 roku. „Bieg Orłąt”. Pierwszy na

Pomorzu bieg ku czci młodych obrońców Lwowa, poległych w obronie polskości miasta w latach 1918-1919.

Organizator: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Fundacja Pomorskich Kresowian; partner: Instytut Pamięci Narodowej w Gdańsku.

Szkoła Podstawowa im. gen. Mariusza Zaruskiego w Kolbudach.

25 października 2023 roku. 20. Kresowa Środa Literacka. „Władysław Syrokomla (1823-1862), zapomniany romantyk w 200. rocznicę urodzin” – prelekcja dr. Józefa Szostakowskiego, kustosa Muzeum Władysława Syrokomli w Borejkwoszczyźnie (Wileńszczyzna).

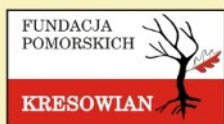
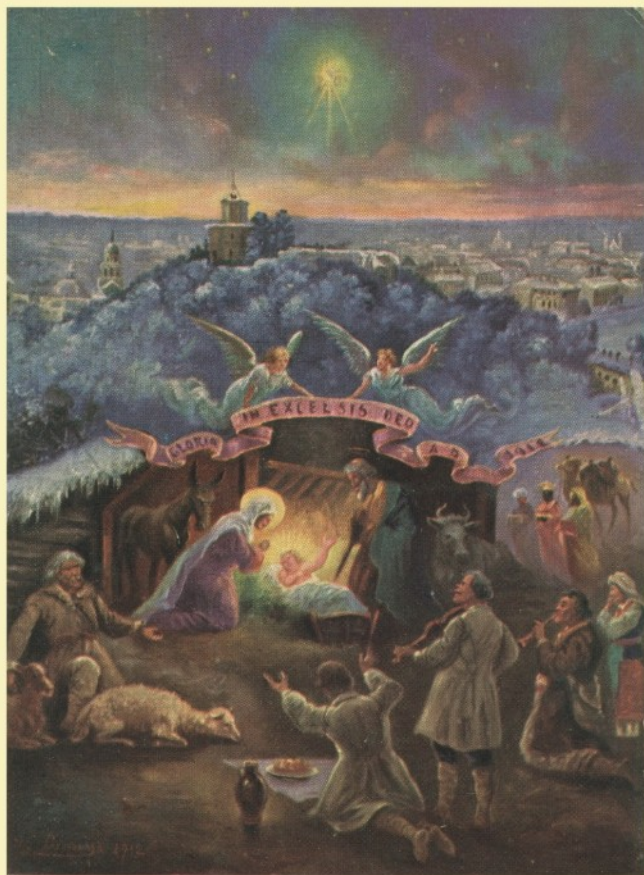
Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku oraz Klub Marynarki Wojennej w Gdyni. Współorganizator: Gdański Archipelag Kultury. Prelekcja odbyła się w ramach wydarzenia „Wilno w Gdańsku”.

29 listopada 2023 roku. 21. Kresowa Środa Literacka. „Matka Boska Ostrobramska w poezji i wspomnieniach” - prelekcja ks. dr. Tadeusza Kraheła z Archidiecezjalnego Wyższego Seminarium Duchownego w Białymstoku.

Klub Marynarki Wojennej w Gdyni oraz Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

27 grudnia 2023 roku. 22. Kresowa Środa Literacka. „Sylwester, Nowy Rok i karnawał w Wilnie, we Lwowie, na Kresach...” oraz „Na kresowym talerzu. Smaki, smaczki i przepisy z ziem wschodnich Rzeczypospolitej” - prezentacje Tomasza Kuby Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią w Warszawie.

Klub Marynarki Wojennej w Gdyni oraz Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.



2024

FUNDACJA POMORSKICH KRESOWIAN
ul. Jaškowa Dolina 17, 80-256 Gdańsk
fundacjapomorskichkresowian.pl

Kontakt: 601 979 828, 601 611 567
biuro@fundacjapomorskichkresowian.pl